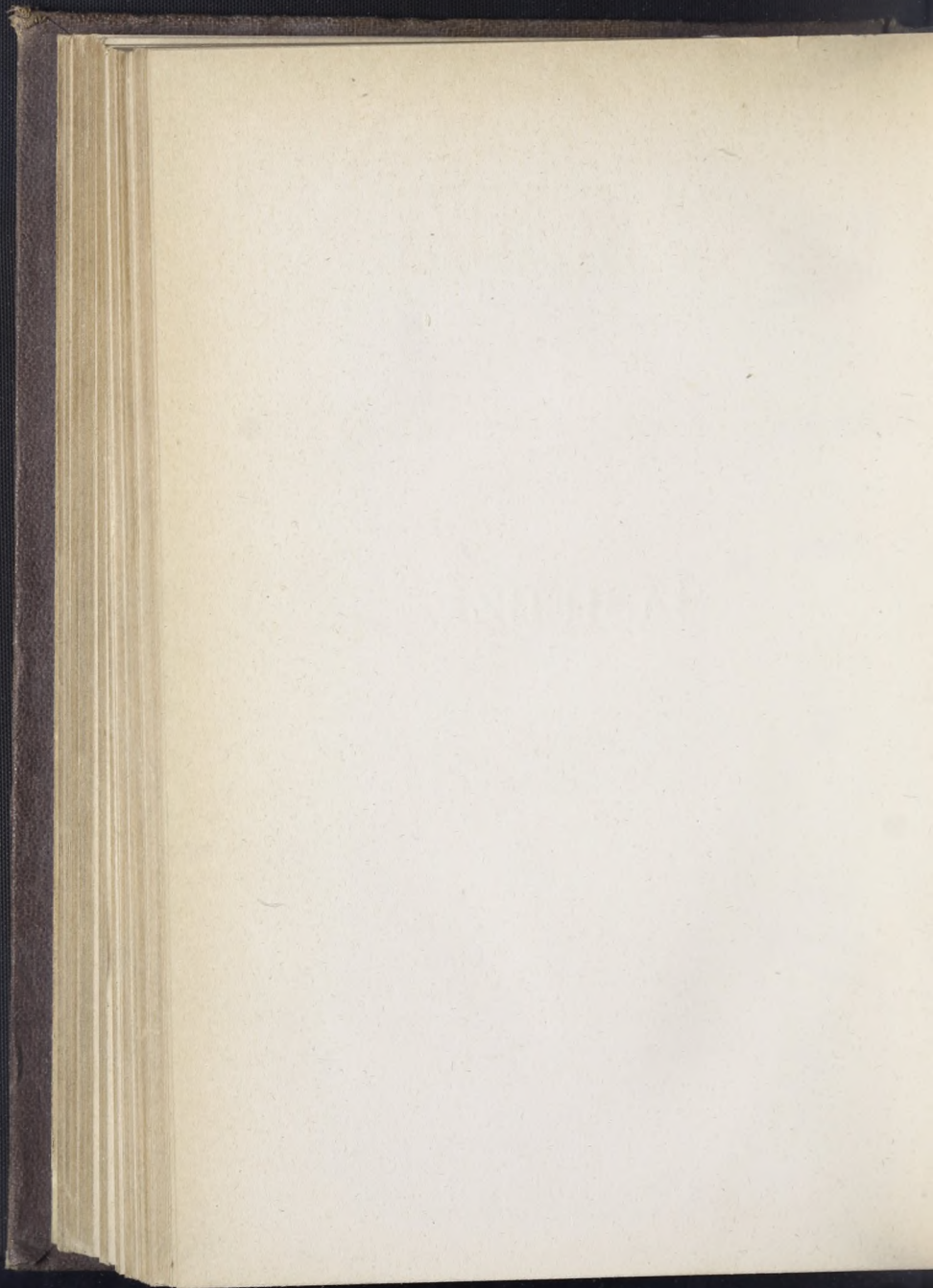


SĄSIEDZI.



# SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

przez

J. I. Kraszewskiego.

---

---

**TOM II.**

---

---

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA księgarza  
ulica Nowy-Świat Nr. 55.

1878.

Дозволено Цензурою.

Варшава 29 Іюня (11 Іюля) 1878 года.



T. 2

I 2.008.022



Dom, który dożywotnio zajmowała pani Kaszte-  
lanowa przy ulicy Trockiej, był niegdyś pałacem;  
ale dziś po nim trudno poznać było, że się tak  
mógł nazywać. Miał wprawdzie ogromną bramę  
wjazdową, z potłuczonymi przed nią dwiema latar-  
niami, i pierwsze piętro pałacowo urządzone było,  
dziś jednak wyglądał brudno, opuszczono i niepo-  
cześnie. U samych wrót dwie kupy błota i śmie-  
ci od niepamiętnych czasów czekały, aby się kto  
zlitował nad niemi, służąc tymczasowo wróblom  
do poszukiwań gastronomicznych. Prawie zawsze  
z lewej lub prawej strony wrót stał jeden z odpo-  
czywających stróży ze wsi dla posługi pałacowej  
sprowadzanych, w podartym kożuchu, łapciach al-  
bo bieliźnie czarnej, z rozczochranemi włosami, ba-  
wiąc się wcale nie ożywioną ulicą.

Przeszedłszy bramę ciemną, z której na prawo  
i lewo prowadziły wschody, widać było obszerny  
dziejniecek prostokątny, jak więzienie do koła ob-  
wiedziony murami. Strona ulicy przeciwległa  
była okryta galeryami, na których dzień i noc wi-

siała bielizna, ścierki, odzież i schnące sprzęty do kuchni i pralni. W pośrodku stojąca studnia prawie zawsze gromadziła jakąś część służby pańskiej przy sobie, albo otyłe i zabrukane praczki, które same najpilniej potrzebowały przeprania, lub stróży i kuchtów, pomywających talerze i ądle. Śmiechy, kłótnie i krzykliwe rozmowy u studni, wiązały się z wykrzyknikami czeladzi na galeryach, i posługaczy kuchennych.

Drzwi kuchni, w której dzień i noc coś gotowano, smażono i prażono, odznaczały się tem, że z nich, równie jak z okien kuchennych, buchał zawsze dym i na murach okopcone po sobie zostawiał ślady.

W pobliżu tem całe życie pałacowe się ogniskowało. W jednym jego rogu leżały stopy drzewa przygotowanego na zimę, około których coś zawsze ciupał jeden ze stróżów. Z drugiej strony otworem stały drzwi stajni, które zajmowała gawieź stajenna. Obok z otwartych najczęściej wozowni, wyglądały na pół wytoczone powozy, których powierzechowność świadczyła o długim i nietościwem używaniu. Z innych okien i drzwi wychylały się postacie, głowy i różne akcesorya mnogiej dworni p. Kasztelanowej. Nieład wszędzie widać było straszny, choć na rękach i robotniku nie zbywało. Niezliczona ilość wyrostków, pachółków i siwych głów, dziewcząt, jejmościanek, jejmości,

pań,—zwijala się, krzyczała, wymijała, wchodziła i schodziła po wschodach i galeryach, nieszczędząc głosu i nieznizając go przez poszanowanie dla samej pani.

Kiedyniekiedy, gdy gwar dochodził do tego stopnia, iż się można było spodziewać wzięcia do boju, z jednego okna na pierwszym piętrze, wysuwała się głowa szpakowata i silna ręka z bizunem—ochrypły głos nakazywał milezenie, popierając rozkaz żywym wizerunkiem następstw, jakie mogło ściągnąć nieposłuszeństwo. Wówczas rozpięchały się tłumy i szły po kątach kończyć spór publicznie rozpoczęty.

Z wielkiej ilości osób, otaczających p. Kasztelanową, można było wnosić, że musiała prowadzić życie bardzo czynne; jakoż ruch około niej był wielki, ale podobny do jakiegoś wirowania błędnych satelitów, które ni świecą ni grzeją. Kasztelanowa zdawna była nawykła do wielkiego dworu, choć połowy jego nie znała, miałyby się za najnieszczęśliwszą, gdyby jej go zabrakło. W rzeczywistości dwór ten próżniaczy nie jej służył, ale tym, co niby jej posługiwali. Panna starsza rezydentka, nierobiąc sama nic, wyręczała się, młodszą, ta—dziewczyną ze wsi, a ta naostatek stróżką. Jeśli zaś stróżka miała przyjaciół w stróżach, robotka schodziła na nich.

Z mnogiego tego dworu nikt prawie nie nie ro-

bił—dozorowali wszyscy. Kuchmistrz siedział z założonemi rękami, dysponując kucharzowi, który pędzał kuchtę, kuchta kuchcika, a ten ostatni nie-szczęsnego stróża. W stajni koniuszy, dysponował furmanowi, który łąjał fornala, a ten bił wyrostka, wkońcu spędzającego ciężką robotę na stróża. Tak było wszędzie.

Stary marszałek dworu, którego rękę z bizunem widzieliśmy w oknie, siedział u siebie w stancyi, grając w warcaby i pijąc miód albo piwo; kamerdyner drzemał w przedpokoju, lokaje na korytarzach prowadzili romanse z pannami; a wszyscy jednym głosem narzekali na niezmiernie ciężką służbę, i na hultajstwo swych podwładnych.

Toż samo co z robotą, było z kluczami i zapasami.

Ten, któremu dozór był powierzony, używał kluczy tylko naówczas, gdy ich dla osobistej swej wygody mógł potrzebować; w innych razach klucze też schodziły aż na stróży i kuchtów.

Wiekniuste też było podziwienie wszystkich, iż nic nie trwało, wychodziła każda rzecz niesłychanie prędko. Gdy zapasy nadesłano ze wsi, naówczas luszytk był po wszystkich piętrach na ogromną skalę: jedzono, smażono, zapraszano, rozdawano, aż dopóki w faskach się niespodzianie dno nie ukazało.

Naówczas następowały wyrzekania, śledztwa,



zaprzysięgania niewinności, denuncyacye, plagi i najczęściej krupilo się to — na stróżach.

Na ich barkach w istocie cały ciężar domu tego spoczywał, a jak w rzeczypospolitej anarchia stanowiła rząd pewien, tak tu nieładem stał dom pani kasztelanowej.

Domyślać się łatwo, iż ona sama w nic nie wglądała, nie miała na to nigdy czasu. Od przebudzenia do późnej nocy, nie nierobiąc, była tak niesłychanie zajęta. Spieszyła się, pędzała wszystkich, iż często przez dwadzieścia cztery godzin ledwie na chwilę przysiadła.

Chociaż, jak widzieliśmy, pisała listy nie wytwornie i charakterem do odcyfrowania trudnym, wyprawiała ich codziennie takie mnóstwo, odbierała moc tak wielką, iż sama korespondencya pożerała znaczniejszą część czasu.

Potrzeba było koniecznie dawne u dworu, w senacie, na prowincyi znaczenie i stosunki utrzymać. Niezmiernie dbała też o to pani Kasztelanowa; więc czy był jaki interes czy nie, potrzebowała kogo lub był jej bezużyteczny, parę razy w rok nawiedzała go listami.

Tym sposobem zachowywało się drogą pamięć nieboszczyka p. Kasztelana, i, na wszelki wypadek, jednało się przyjaciół. Oprócz tego Kasztelanowa miała się i mianą być chciała, za osobę wpływową; używano jej, gdy sejmiki i wybór posłów

był zapowiedziany. W tych chwilach stanowych rozwijała gorliwość i skrzętność prawdziwie zdumiewającą, zamęczała się.

Niemając dzieci, niekochając nikogo, a postarawszy i straciwszy dawnych wielbicieli, Kasztelanowa w tem gorączkowem szamotaniu się znajdowała jakąś rozrywkę i potrzebne zatrudnienie.

Przy takim nieładzie można sobie wystawić, jak szły interesa. Kasztelanowa miała na znacznych dobrach dożywocie, i własny swój majątek. W obu zarząd był taki jak w pałacu.

Pieniędzy nie wystarczało nigdy; pożyczano nieustannie, dla zaspokojenia pilnych długów, i robiono nowe, które na czas jakiś nie były dolegającami. Na tem wszystkim zarabiali plenipotenci, rządcy, prawnicy, a Kasztelanowa nigdy nad dzień jutrzejszy dalej widzieć i o niczem dalszem myśleć nie chciała. Gdy przychodziło do ścisłych rachunków, była już zawsze śmiertelnie zmęczoną i wypraszała się, aby jej pokój dano.

Pan Strucezaszyc, który równie dobrze znał stan interesów, jak charakter stryjecznej siostry, wiedział dobrze, iż po niej nie weźmie nic oprócz kłopotów i długów; nie mieszał się też do jej spraw, ażeby nie proszono go o kredyt. Zużytkował tylko teraz kuzynkę, gdy mu się syna pozbyć było potrzeba.

Tu mu żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Stryjenka, niegdyś bardzo zalotna i pamiętająca dobre czasy Augusta Mocnego, przyjaciółka Bielińskich i Denhoffowej, miała już lat pod sześćdziesiąt, i, choć się zawsze bielila i różowała, choć jeszcze w twarzy świeciły oczy czarne i piękne, pomarszczona była—kaszłąca i straszna.

Prawa jej ręka, pani z Płachciewiczów Ostrogradzka, Podstarościanka witebska, miała też lat z pięćdziesiąt. Starsza panna rezydentka Miłosiewiczówna Olimpia, lat dobrze czterdzieści, a panna przyboczna, Eulalia Woronowiczówna, co najmniej drugie tyle.

Co się mieściło w garderobie, przy haftach, strojach, bieliźnie, to w rachunek żaden nie wchodziło.

Kasztelanowa, prowadząc życie tak czynne, wcale nie myślała w pomoc wzywać do żadnego interesu młodego synowca. Hojski sam napisał do niej z prośbą, aby jakiś czas zatrzymała go przy sobie, co Kasztelanowa znalazła zrazu dziwaczne i niewłaściwe. Wszyscy co ją otaczali, bili w to, że ze strony Strukczaszyca była to, co najmniej dziwna pretensya. Jednak po namyśle zdecydowała się p. Kasztelanowa list według żądania kuzyna napisać i wysłać, wcześniej się frasując: co z tym nieznośnym fantem robić będzie?

Marszałek dworu Płachciewicz, markotny był mocno, gdyż i on i plenipotent Oniksztyński, znawali, że cała ta sprawa niczem innem nie była,

tylko upozorowaniem szpiegowstwem Strukczaszyca, chcącego mieć nadzór nad przyszłą sukcesyą Kasztelanowej.

Nikt tu więc nie był rad p. Erazmowi; zawczasu się nań krzywili wszyscy i zapowiadali, że mu tu długo miejsca zagrzać nie dadzą.

Płachciewicz, który udawał, że do pani Ostrogrodzkiej czuje skłonność (gdyż w jej ręku była kassa), szepnął na ucho damie swojego serca:

— Niech się państwo spuszcza na mnie; my go ztąd wykurzemy.

Pan Erazm jechał niechętnie, a tu zbierano się już przyjąć go jaknajzimniej, bodaj nieprzyjaźnie. W pałacu zaprowadzony był już od wieków taki porządek, że wszyscy donosili pocichu na wszystkich i wzajem szkodzili sobie. Pan Erazm więc nie mógł uniknąć losu wszystkich mieszkańców pałacu. Nim jeszcze przybył, Kasztelanowa kazała do siebie zawołać Płachciewicza.

Jak zawsze, śpieszyła się i teraz z czemś i wchodzącego powitała w progu.

— Co chciałam mówić, mój kochany Płachciewicz, bo ja to jestem tak roztargniona, tyle rzeczy na głowie—ale, już wiem, to ten nieszczęsny synowiec, który na mnie spada! W krótkich słowach, bo nie mam czasu, powiem asanu, żebyś mu tam weźmie jakie mieszkanie wyznaczył i kazał oczyścić.

— A! gdzież tu, proszę jaśnie pani, — odezwał się, kręcąc szpakowatego węża, ogromny drab w perłowym kuntuszu — gdzie tu u nas kąt wolny? My i tak się ledwie mieścimy! Gdzie tu go postawić, ja, słowo daję, ani wiem.

— Rób już sobie jak chcesz! — odparła niecierpliwie p. Kasztelanowa, chodząc z listem po pokoju. Gdzieś się jakiś kąt dla jednego chłopca znajdzie.

— Ciekawym gdzie? — zamruczał Płachciewicz. Broń Boże, jeszcze z końmi najedzie, to dla nich ani kawałka żłobu nie mam. Co to gadać! Od góry do dołu szpilki nie wetknąć.

— No, to dać jeden z pokoi po jegomości! a żeby temu był koniec — odezwała się Kasztelanowa — widzisz, żem zajęta.

— Jeszcze czego! ale! — odparł pod nosem marszałek wychodząc: — Pokój po jegomości! Będzie go widział!

Tegoż dnia, porzuciwszy warcaby, w które z przyjacielem swym Franciszkaninem grywał po całych dniach, Płachciewicz poszedł na drugie piętro, otworzył zabrukana i zatęchłą izbę, w której leżały połamane sprzęty i kazał ją jednemu ze sług wyporządzić. Summarycznym rozkazem, miał się sługa postarać o łóżko, siennik, stół, dwa stołki i — co potrzeba.

— Zkąd-że ja to mam wziąć? — spytał sługa.

Płachciewicz podniósł pięść do góry wyraziście.  
— Weź zkad chcesz! rozumiesz! co to ja cię będą niańczył!

Sługa popatrzył na izbę stojącą otworem, zawołał stróża i codo słowa mu powtórzywszy rozkaz marszałka, z dodatkiem groźb i demonstracyi kulakowej, więcej się już o to nie troszczył.

Stróż poskrobał się w głowę, plunął, zamruczał, zawołał do pomocy towarzysza, sięgnął stróżkę; stanęli w kurytarzu i gadali do wieczora, nie nie robiąc.

Nazajutrz rozpoczęto od tego, że wszystko z izby wyrzucono i okna otwarto. A że zdawna były pozamykane, szyba jedna pękła przy wstrząśnięciu. Wczasie letnim szyba wybita nie liczy się wcale.

Stróżka wieczorem izbę zamiotła tak, że całe piętro pełne było kurzawy.

Trzeciego dnia, ponieważ łóżka nie było, przyniesiono tapczan bez nogi, zamiast której postawiono polano. Czwartego dnia miano się postarać o resztę, gdy około południa wózek się zatoczył przed pałac—i wysiadł z niego podróżny.

Niewiedząc gdzie i do kogo się obrócić, spytał stróża u bramy; stróż nie mówiący nigdy, palcem pokazał w dziedziniec i poszedł. Skazówka była niedostateczną; p. Erazm czekać musiał aż się kto trafi rozmówniejszy.

Wtem na wschodach posłyszał bieg, śmiech

śpiew i pokazała się dziewczyna bez pończoch, w trzewikach zdeptanych, z głową nieuczesaną—pośpieszył ku niej z zapytaniem:

— Oto także! — odpowiedziała — albo ja tam wiem. I ucieła.

W kilka minut potem, stoczył się z góry lokaj z rękami w kieszeniach. Od tego ledwie się potrafił dowiedzieć p. Erazm, że powinien się być udać do marszałka dworu, Płachciewicza, na piętro. Pokazano mu drzwi.

Na piętrze natrafił naprzód na izbę, w której na słomie spał stróż pijany czy chory; drugie drzwi otworzywszy, zobaczył stół, na nim pokrajane sukno, żelazko krawieckie, butelkę od piwa i — więcej nie.

W trzecich drzwiach, gdy je otworzył, krzyk się dał słyszeć. Stała naprzeciw nich kobieta dobrej tuszy, w jednej koszuli, właśnie się przyodziewająca.

Krzyknęła: — Jezu! Marya! a idź-że do sto dyabłów!

Pan Erazm drzwi zamknął.

W piątych czy szóstych, minawszy przedpokoik, znalazł szpakowatego mężczyznę z wąsami, grającego w warcaby z księdzem.

Na stoliku stała flaszka, solniczka i resztki chleba. Grający tak byli zatopieni w partyi rozpoczę-

tej, iż p. Erazm chrząknąć musiał, aby ich rozbudzić.

Podniósł głowę p. Płachciewicz.

— A czego to? a z czem?

Pan Erazm w krótkości oświadczył: kto był i z czem przybywał?

Na twarzy marszałka widać było nieukontentowanie; nie czuł potrzeby zbyt grzecznego przyjęcia synowca swej pani.

— Pani Kasztelanowa o tej porze nie ma czasu, nie przyjmuje nikogo. Niech pan sobie każe komu pokazać izbę, co jest dla niego wyznaczona.

Zdziwił się trochę tem przyjęciem Hojski i uśmiechnął. Marszałek widać za złe wziął to ust poruszenie i zezwienił się.

— U nas tu miejsca niewiele—dodał. Jeżeli pan ma konie, to proszę gdzieindziej postawić, stajni u nas wolnej niéma.

Nienawykły był p. Erazm do takiego lekceważenia, — oburzyło go.

— Mój panie—odezwał się głosem trochę podniesionym; ja tu nie przyjechałem jak załoga, ale na żądanie i w gościnę. Jeżeli o miejsce dla mnie i moich koni trudno, łatwo się bez tego obejść i gospodę znajdę.

To mówiąc, odwrócił się, chcąc wyjść.

Dopiero Płachciewicz pomiarkował się, z kim miał do czynienia, i zerwał się z kanapki.



— Niech-no się pan nie gorącuje!—zawołał—bo to znowu trudno, ja się nie rozerwę, a czego niéma, toć nie stworzę.

— Zatem nie mi nie trzeba!—powtórzył Hojski, na głowę biorąc czapkę.

Płachciewicz, Franciszkanina porzuciwszy, wybiegł za Erazmem.

— Stancya dla pana przecież jest, tylko nie wiem czy oczyścili, a z końmi—to trzeba zobaczyć.

— Każ mi waćpan pokazać mieszkanie!—odparł sucho Erazm.

Obejście się trochę pańskie przybyłego zmieniło natychmiast usposobienie marszałka. Po chwili namysłu, nie poprowadził już gościa do izby na drugie piętro, uznawszy ją za zbyt lichą, i chwyciwszy klucze, otworzył mu ów pokój nieboszczyka pana, o którym mówiła Kasztelanowa.

Ten, choć także opuszczony i z główniejszych sprzętów ogołocony, zawsze daleko był wygodniejszym od lichej izby na drugim piętrze. Brakło i tu wiele, lecz Erazm umiał sobie dać radę. Pierwszemu odartemu sługusowi, którego spotkał w sieni, dał półtalara i kazał mu sobie przynieść na czem zbywało. O grosz gotowy było tu zawsze trudno, chłopak więc odrazu przystał na służbę do p. Erazma.

Konie postawiono w jakiejś komóreczce, do której



miano wstawić koryto, a to obiecywało zastąpić żłób. O drabinę na siano nie było trudności.

Przekupiony chłopak dał znać p. Erazmowi, gdy na pokoje do Kasztelanowej pójść było można. Ta zawczasu już o przybyciu została uwiadomiona. Z powodu gościa, wdziała starą suknię adamaszkową czarną i nową peruczkę. Pani Ostrogradzka ubrała się też paradnie, panny Eulalia i Olimpia przywdziały świąteczne suknie. Wszystkie ciekawe były owego Hojskiego i złe na niego, bo im też był zawadą i niepotrzebnem okiem. Kasztelanowa zawczasu narzekała i niecierpliwiła się.

Dla honoru domu, szczególnie pierwszego dnia, musiała zarządzająca kuchnią, p. Ostrogradzka, pomyśleć o obiedzie, o którym nigdy nie wiedziała. Kasztelanowa nie uważała co jadła, czasami najadała się rzeczy niestrawnych i chorowała, niekiedy wstawała głodna i musiała się podkarmiać chlebem lub kawą.

Codo obiadów, które miała dysponować Ostrogradzka,—te zwykle dyktował kuchmistrz z pomocą swych podreęcznych. Jak tylko się w progu ukazał ów urzędnik, Ostrogradzka zbywała go tem, że nie ma chwili czasu, bo ją już woła Kasztelanowa, dawała z apteczki kieliszek słodkiej wódki i wyprawiała.— Rób acan co chcesz! Kuchmistrz pytał, wróciwszy do kuchni, co tu jest w spiżarni, i zdawał dyspozycję na kucharza. Ostatecznie obiad

się klecił przy pomocy stróży, tak, że jedząc go, kuchmistrz, dziwił mu się. Był dlań niespodzianką.

W czasie preparowania go, najczęściej obaj oni z kucharzem grywali w chapankę.

Tego dnia jednak na niepewne spuścić się nie chciała p. Ostrogradzka, lecz kuchmistrz ją uprzedził i sam dopilnował, aby jedzenie było — po ludzku.

Pokoje pierwszego piętra, niegdyś pałacowo urządzone, miały wysokie stropy, gzemsy potrosze złoczone, ale szpalery spłowiałe i popsute, sprzęty zużyte. Pan Erazm, przeszedłszy jedną pustą salę, znalazł się w mniejszym pokoju, dawniej zielonym zwanym, dziś barwy nieoznaczonej. W pośrodku jego, w towarzystwie panny Olimpii, czekała nań słusznego wzrostu, chuda, śmiesznie i niestarannie ubrana kobieta, pańskiej postawy, z twarzą której bielidło, róż i muszki pokryć nie mogły kwaśnego humoru.

Stryjenka zapewne wyobrażała sobie, że w tym gościu ze wsi znajdzie niezgrabnego, zadomowionego chłopaka, któremu jej pałac i państwo resztę śmiałości odejmą.

Gdy wesoło i rażno wszedł p. Erazm, piękny, młody, zręczny, obracający się swobodnie, Kasztelanowa w pierwszej chwili zdumienia swego ukryć nie umiała. Gotowała się go przywitać zimno, lecz widok ślicznego chłopaka, który jej może lepsze

przypomniał czasy, wnet pomarszczone lice rozchmurzył.

— Ojciec mój—rzekł całując ją w suchą, kościastą rączkę Hojski — upada do nóżek stryjenki dobrodziejki—i przysyła mnie tu na jej rozkazy.

Podał list, którego zmieszana jejmość nie rozpieczętowała.

— Miło mi tu waćpana powitać—rzekła.

To mówiąc, wciąż mu się przypatrywała pilno, a p. Olimpia też ciekawemi oczyma go mierzyła.

— Nie wiem, czy waćpanu u mnie się podoba—odezwała się Kasztelanowa — bo też życie w tem Wilnie utrapione, a ja nieszczęśliwa wdowa obarczona, skłopotana.

— O! mnie wszędzie dobrze! — rozśmiał się pan Erazm—niech się stryjenka dobrodziejka nie kłopotce o mnie. Dam sobie rady.

Nadeszła w tej chwili p. Ostrogradzka, prowadząc z sobą p. Eulalię, a ta czwórka kobiet podstarzałych, wyfiokowanych, ciekawych, przesywających go wejrzeniami, choć chwilowo niemiłe wrażenie zrobiła na Hojskim, umiał tego po sobie nie okazać.

Zaczęły się pytania o Strukezaszyca, o wieś, o różne sprawy potoczne; lecz zaledwie słuchając odpowiedzi, jejmość przerywała je ciągle utyskiwaniem na swe życie, prace i kłopoty. — Trzy towarzyszki potakiwały różnemi głosami: p. Ostro-

grodzka chrypliwie, p. Eulalia jękliwie, p. Olimpia piskliwie.

Dano znać do stołu. W sali jadalnej czekał już Płachciewicz, ks. Augustyn Franciszkanin, przyjaciel jego, którego zapraszał często, i niejaki Węgrzynowski, liczący się za prawnika, dopilnowującego interesów Kasztelanowej. Czerwona jego twarz i ogromny purpurowy nos, świadczyły, że służył razem i Bachusowi.—Poza p. Ostrogródką dostało się miejsce p. Erazmowi, za którym zaraz siadł Węgrzynowski.

Wszystkich oczy i wyteżona uwaga zwróciły się na natręta, na owego szpiega, którego marszałek wykurzyć obiecywał. Erazm miał już tyle praktyki świata, nabytej w Lublinie, iż go nie zmieszać nie mogło. A w im kłopotliwszem znajdował się położeniu, tem mocniej miną nadrabiał.

Wszyscy, wpatrzywszy się w niego, nabrali tego przekonania, iż wykurzenie będzie trudne, a gość może być niebezpiecznym. Kasztelanowa bowiem, która otwarcie wprzód się z tem oświadczała, że go z góry będzie traktować, obchodziła się teraz z nim, nietylko grzecznie, ale z wielką słodyczą i atencyami. Erazm był to winien bodaj swej powierzchni sympatycznej i wdziękowi młodości.

Wszystkie trzy towarzyszki Kasztelanowej w duchu przyznawały, że—chłopiec był śliczny. Z pła-

chciewczem nieprzyjemnie się już spotkawszy, pan Erazm zdawał mu się tego teraz wcale nie pamiętać.

W rozmowie ani zbyt rozwlekły, ni natarczywy, odzywał się zręcznie i szczególniejszy stryjenki obudził sympatją, gdy się okazało, że pięknie mówi po francuzku.

To go zaraz i w oczach innych osób podniosło. Wszyscy czuli, że się zawiedli, inaczej wcale wystawiając sobie syna p. Strukczaszyca. Twarze się oblokły smutkiem i zadumą.

Po obiedzie, niechcąc być natrętnym, pożegnał się zaraz Hojski, prosząc tylko pani domu o rozkazy, jeżeliby w istocie jej mógł być w czem pomocnym. Kasztelanowa się uśmiechnęła nadzwyczaj dobrotniwie, i odprowadziła go do okna.

— Acan mi się bardzo podobałeś — odezwała się bez ogródki, bo, choć w oczy mu to powiem, pięknie się prezentujesz i kawaler jesteś, widać, światowy. Więc będę z nim szczerą, a proszę nawzajem być zemną otwartym. Cóżżeś to tam asindziej zrobił, że ojciec cię ze wsi chciał się pozbyć? To już pewnie amory jakieś, przyznaj-że mi się! Ja nie wydam i nie zaszkodzę.

Zaczerwienił się p. Erazm, nie myślał wcale przyznawać się do niczego przed stryjenką, i rzecz tę lekko obrócił.

— Słowo stryjence dobrodziejce daję, że nie wiem

dłaczego mnie ojciec wyprawił. Nie zgrzeszyłem tak dalece nieczem.

— Ej! ej! zrób-no waszecz rachunek sumienia!— odezwała się Kasztelanowa.

— Doprawdy, że nie umiem odgadnąć, czego się tak ojciec nastraszył—rzekł śmiejąc się. Może tam coś było, co się mnie nie wydawało straszmem, a do czego się ja nawet nie poczuwam.

— Oh! o! — przerwała Kasztelanowa — to już z acana taki bałamut, że romanse liczysz na tuziny. Ja się domyślam, że tatko pewnie dopatrzył jakichś zakazanych konszachtów z mężatką. A! to się nie godzi! Jeszcze tak, żeby aż ludzie o tem wiedzieli i gadali!—dodała ciszej.

Erazm się uśmiechał.

— Otóż, koniec końcem, powiem ci, że ja, jako żywo w interesach żadnej pomocy nie potrzebo-  
wałam. To wszystko kompozycya twego ojca. Nie masz tu nic do robienia, tytkom rada, że sobie spocznieś i romans się rozerwie! Baw się sobie, ale proszę, proszę, żeby skandalów nie było!

Pan Erazm poprzysiągł, że mu umizgi nie na myśli.

—No! no! już my to znamy!—dodała jejmość, zegnając go.

Poszedł więc wyswobodzony Hojski do swego mieszkania.

Miał o czem myśleć. — Od wyjazdu z Sierhina

piękna Leonilla, tak jak go zegnała po raz ostatni, na oczach mu stała.

Siadł zaraz pisać do niej pod kopertą ciotki Blandyny. Znając wszakże usposobienie ojca, który pieczęci żadnej nie szanował, wpadł na myśl, ażeby list adresować do ks. Dagiela, z prośbą o oddanie go do rąk Strukczaszanki.

Pisanie do wieczora go zajęło; wyszedł później po mieście się rozpatrzyć, bo go nie znał.

W pałacu przybycie p. Erazma, po obiedzie i rozmowie u okna z Kasztelanową, uczyniło wrażenie nadzwyczajne. Marszałek pędem przybiegł do pani Ostrogradzkiej.

— Pani, a najłaskawsza dobrodziejko moja—odezwał się tajemniczo.—Darmo to już się okłamywać: ten młokos nam tu sadła za skórę zaleje. Uważała pani jak naszą jejmość odrazu skorrumpował? Co to gadać? Chłopak ładny, rezolutny, bystry—i niebezpieczny.

— Komu to asindziej mówisz? — przerwała pani Ostrogradzka—czy to my tego z p. Olimpią już nie pomiarkowały? Frant—jemu z oczów to patrzy—a że nie po co przybył, tylko na szpiegi, na to szyję moją daje. Chcą wszystko za życia jej opanować, wziąć ją w kuratele, a nas—co to gadać!—na cztery wiatry!

Płachciewicz się zamyślił.

— No—otóż rada w radę—co robić?



Ostrogrodzka podumała.

— Nic, tylko dyssymulować.

— He?

— Dyssymulować, a jak przyjdzie chwila sposobna—dodała jejmość—buty mu się uszyją.

— Żeby tylko się uszyły.

— Już asindziej bądź spokojny. Ja w ten.

Płachciewicz się przeszedł po pokoju.

— Udaże indyferenta—rzekł—a tylkoco nie wiadać jak zacnie go być pełno we wszystkich kątach.

— O! frant! frant! — powtórzyła Ostrogrodzka—ale ja panu jedno mówię, że się sprawdzi przysłowie: „Trafił frant na franta i wyrznął mu kuranta.“

Marszałek ją aż w rękę pocałował za tę miłą obietnicę.

— Ja zawsze powiadam—dorzucił—jak nie pani Ostrogrodzka, to u nas nikt! Bez pani nas-by on tu wszystkich w kaszy zjadł.

— Tylko—sza!—dodała jejmość.—Ja muszę iść do Kasztelanowej, bo już dzwoni. Boże miłosierny, że niema w dniu chwili spoczynku!

— Pani myśli, że u mnie lepiej?—westchnął marszałek, żeby człek chciał zdrzemnąć pół kwadransa: ledwie siadł, patrz, już drzwi się otwierają, ktoś idzie, albo w dziedzińcu harmider.... Leć na złamanie karku, bo już się czubią, albo....

Lecz p. Ostrogrodzka, niedosłuchawszy, musiała

biedz do Kasztelanowej, której dzwonek coraz natarczywiej słyszeć się dawał.

We dworze Łopatyckim smutniej teraz było niż kiedykolwiek. Czemeryńskiego niczem rozerwać i z myśli ponurych nie można było wyprowadzić.

Miał przeczucia trwożliwe, a wiadomości przywożone przez Kaczora, który zgodnie z instrukcją swojego pryncypała, straszyl potrosze wywłaszczeniem i to jeszcze na rzecz wroga — wprawiły Czemeryńskiego w rodzaj gorączki.

— Wszystko w świecie! — mówił w duchu — lecz temu łajdakowi nie dam powąchać kawałka mojej ziemi!

Szukając środków wybrnięcia z długów, wpadł wreszcie na myśl sędzia: poradzenia się jedynego człowieka, którego za przyjaciela uważał.

Posłał się dowiedzieć o Podkomorzego; ten był w Warszawie. Spodziewano się jego powrotu, kazał więc arendarzowi dać sobie znać umyślnym, jak tylko przyjedzie.

Po dosyć długiem oczekiwaniu, żydek oklep przybiegł, dając znać, że Podkomorzy przybył do domu. Jednej chwili nietracząc, kazał Czemeryński zaprzęgać.

Nie spodziewał się go Buchowiecki, sam zakło-

potany jakiś i smutny. Poszli zaraz na ustęp do kancelaryi.

Ozemeryński nie mógł chwili strzymać z czem przyjechał. Podniósł obie ręce do góry i począł patetycznie:

— Przyjacielu jedyny, w którego najlepszem sercu zaufanie pokładam, oto przybywam do ciebie, na łono twe wylać strapienia moje. Źle zemną!

— Cóż ci jest? na Boga!

— Ten wróg, ten zjadły nieprzyjaciel, niesyty krwi mojej, ta żmija niegodziwa, ten niepoczeiwý Hojski—zarzyna mnie!

Tehnął, pot z czoła ocierając.

— Patrzaj-że co się święci! — wołał sędzia, na jaką się rzucił sztukę, aby mnie zgubić! Kto z nas nie ma dłużników? he?

— Pewnie!—westchnął Podkomorzy. który miał ich bardzo wiele—kto ich nie ma?

— Ten frant, zbójca nabywa moje skrypty! Usadził się na to, ażeby mnie z wiosek wysadzić, bo-daj z Łopatycz nawet—rzekł, jęcząc, sędzia.

— A! to nie może być!—odparł zdziwiony Podkomorzy.—Maż on pieniądze?

— Sknera, skapiec, zdzierca, lichwiarz, jakżeby ich nie miał? Tacy tylko ludzie jak on pieniądze mają! Ma! ma!

Westchnęli obaj *unisono*.

— Żebym był wiedział — pomyślał Podkomorzy w duchu—byłbym u niego pożyczzył.

— Wiesz co? — dodał Czemeryński, niech się dzieje co chce. Dyabłu duszę zaprzędam—dam ziemię zabezpieczen innemu, byle nie on wzięł. Zagrabi mnie—no, to umrę.

— Ale, co znowu! dajże pokój!—przerwał Podkomorzy—rada się jakaś znajdzie! Co u licha!

Zaczęli radzić. Na żaden sposób skutecznego a zarazem prędkiego środka wynaleźć nie było podobna. — Męczyli się cały dzień; Czemeryński ze złości i aprehensyi płakał.

— Słuchaj-no—rzekł nad wieczorem Podkomorzy — przychodzi mi coś na myśl, ale wstrętliwy środek, do kata.

— Cóż? zlituj się, niech będzie co chce; byle nie Hojski!

— Masz piękną i ślicznie wychowaną córkę; król ze dworem jest w Warszawie. Znam Niemca co mu się gwałtem chce wyjść jak Brühlowi na polskiego szlachcica. Gdyby go z sędzianką ożenić, danoby mu indigenat, ja w tem, a hultaj, bogaty, krezus, opłaci natychmiast długi.

— Jak się zowie?—zapytał Czemeryński.

— Vogt!—rzekł Podkomorzy.

— I krótko i kiepsko!—westchnął sędzia—ale co robić? Co za jeden?

— Niéma co taić: ojciec świece sprzedaje, syn był w wojsku.

— Łojowe?— spytał Czemeryński.

— Tego nie wiem!— odparł Podkomorzy.

Po chwili odezwał się sędzia:

— Paskudna rzecz, a najgorsza, że Leonilka, co takiego noska ma, który zdala czuje lada podejrzaną woń — gotowa się tego łaju dowąchać—i—nie pójdzie!

— Syn przyzwoity i ładny chłopiec!— powiadam ci — służył w wojsku, a wychowany jak panicz— i miliony po tatku.

— Żeby choć ten szoldra sklep zamknął, możeby z niego łój wywietrzył— westchnął sędzia.

— Wszystko to być może — a no, probujmy— rzekł Buchowiecki. Ja na wsi nie długo bawię, prawdę rzekłszy, po pieniądze tylko przywlokłem. Dostanę ich i jadę do Warszawy. Przybywszy poczną chodzić koło Niemca, a waćpaństwo niezwłocznie zjedźcie.

Córce ani słowa!

— To się rozumie — odparł Czemeryński smutnie.— Ale tobie łatwo powiedzieć, acaństwo zaraz przyjeżdżajcie, a ja bez grosza jak ty — i ten niepocziwy Strukczaszy, bodaj głową nałożył, kredyt mi popsuł—ani dostać!

Rozprawiali do wieczora; stanęło na tem, że pie-

niędzy, rozstap się ziemio, trzeba było dobyć zkadkolwiek, a do Warszawy jechać.

Czemeryński wpadł na myśl szczęśliwą wycięcia lasu, a że jego las był zniszczony, czemu nie miał rąbać dyferencyi? Z pięciu wiosek spędziwszy chłopów, Sierhińców się nie było co obawiać. Gdyby nawet śmiał się Strukezaszyc opierać, rady mu dać było łatwo.

— Niech potem procesuje! a tymczasem niech się ze złości zaje, niech go żółć zaleje! Dyferencya, ja mówię, że moja, on mówi że jego, ja tnę, on niech dowodzi. Jak do Bugu dostawię drzewo, zje kaduka, żeby mi je odebrał.

Myśl ta, szczęśliwa, nadzwyczaj tak przejęła sędziego, że niepowracając do domu, wprost pojechał do Kobrynia, da starego Arona Zybika, który dawniej u niego drzewo kupował.

Stanąwszy w austeryi, posłał po kupca. Nierychło, w odświętnem ubraniu, w sobolowej czapce, w płaszczu czarnym, podpasany jedwabną chustką, z kijem wsrebro okutym, przybył Aron Zybik, do nóg jaśnie wielmożnemu się kłaniając.

Sędzia tego dnia umyślił go panem Zybikiem nazwać, aby do serca jego przemówić.

Israelita znał doskonale stan interesów pana na Łopatyczach, a lepiej jeszcze stan jego lasów. Żadnej już w nich towarnej belki oddawna nie było.

Gdy sędzia zagaił o sprzedaży lasu, żyd się uśmiechnął.

— A zkad jego brać?—zapytał.

— Cóż waćpanu do tego, kiedy ja daję?

Pokręcił głową kupiec.

— Znasz waćpan moją dyferencyę z Sierhinem?

— Dyferencyę? ale ona do Sierhina należy — odparł stary żyd.

— Tak samo jak do mnie!— odparł sędzia.— Mamy o to proces, który już trwa lat dwadzieścia kilka.

— No, i może jeszcze trwać trzydzieści — rzekł Zybig. Pan Strukeczasyc ten las szanuje, a jak ja jego znam—dodał Aron—broń Boże napaści, gotów komu w głowę strzelić!

Czemeryński się zamyślił.

— Z nim niéma co żartować — mówił dalej Zybig. — Choćby pan sędzia chłopów ze wszystkich wiosek spędził, w jednym dniu nie wytną, a on i sąd sprowadzi i sam się bronić będzie. To wojnal!

Z przeproszeniem, jaśnie pana, ja tego nie będę radził, i tego drzewa nie będę kupował. Nie.

— No, to kupi drugi—zawołał Czemeryński.

— Nikt nie odważy się. Na co nam takie drzewo, za które musi ludzka krew się polać? — odparł Aron. I panu sędziemu ono na szczęście nie pójdzie.

— Ja potrzebuję pieniędzy—odparł Czemeryński—to darmo.

— Pieniądze, to jest inna rzecz—rzekł żyd zwolna—a tego drzewa ja panu tykać nie radzę.

— Zkąd-że naprędce grosza dostać? — zapytał Czemeryński.

Aron podniósł oczy ku niebu, spojrzął na sędziego, w pokorze ducha, zdawał się milczeniem wyznawać także zupełną nieświadomość, gdzie pieniędzy szukać należało.

— Ciężkie czasy!—westchnął.

Sędzia przeszedł się po izbie zafrasowany, krew, o której żyd wspomniał, wstręt mu czyniła.

Strukczaszye w rozpaczę gotów się był nawet na niego porwać.

Wśród tego dumania Aron się odezwał:

— Dużo to jasnie panu potrzeba?

Sędzia do niego przyskoczył.

— Kilkaset czerwonych złotych byłoby dosyć.

Namyślał się Izraelita.

— Dawniej to było nic—rzekł—ale teraz—to jest summa wielka. Wie pan co? — dodał — mój krewny trzyma arędę w Łopatyczach.

— A tak! — zawołał sędzia—ale ja go wypędzę, bo mi więcej dają.

— Pan jego nie wypędzi, dawna rata zostanie, pan podpisze kontrakt na lat dwanaście, a ja kilkaset dukatów za niego założę. Nie chcę za to nic tylko młynek na Uściu dla siebie na lat dwanaście.

Zachnął się Czemeryński: warunki były zabójcze.



— Ze skóry-bys mnie odarł!—krzyknął—to nie może być!

Aron, postawszy chwilę podedrzwiami, skłonił się i chciał odchodzić; sędzia obawiał się go puścić. Począł się targ — i kontrakt stanął o arędę. Można się więc było obejść bez napaści na las, bez wojny i następstw jej nieprzyjemnych. Odetchnął Czemeryński i, dostawszy oberzniętych dukatów, do domu pośpieszył.

Przez całą drogę rozmyślał: jak miał usprawiedliwić wycieczkę do Warszawy? Zdało mu się, że potrzeba zabawienia i pokazania córki na większym świecie, była pobudką dostateczną.

Zaledwie wysiadłszy i przywitawszy się z żoną, która o Podkomorzego rozpytywała, począł Czemeryński wywodzić żale nad tem, że się na wsi zakopali.

— Wszystkim nam czas-by się przewietrzyć— rzekł do żony — mnie, którego Hojski już w pół śmierci zamęczył, tobie, nareszcie Leonilce, która świata nie widzi i marnuje się tu na parafii. Podkomorzy znowu wyjeżdża do Warszawy; mnie się też chce pójść za jego przykładem i zrobić małą ekskursję z wami!

Sędzina, która każdą myśl męża uwielbionego witała oklaskiem, niewypowiedzianie się uradowała dla siebie i córki.

— A! czyż to może być, kochasiu!

— Musi być—i będzie!— potwierdził sędzia.

Z tą niespodzianą, a jak się jej zdawało, nadwyzczaj szczęśliwą nowiną, sędzina pobiegła do córki, na której twarzyczce od niejakiego czasu czytała niepokojący ją smutek.

— Leońciu! dziecko moje! przychodzę do ciebie od ojca, z taką wiadomością! że — że, podskoczyć powinnaś z radości.

Zerwała się od krosien p. St. Aubin, Leonilla stała nieporuszona.

— Ten pocziwy nasz drogi ojczyisko,—poczęła sędzina,—to złote serce, które tylko myśli jak drugich uszczęśliwić — dla rozrywki twej, dla ciebie zrobił projekt podróży do Warszawy.

Leonilla rzuciła okiem na Francuzkę i pobladła.

— Ale ja—ja się wcale na wsi nie nudzę—odezwała się,—mnie tu dobrze.

Wielkie było zdziwienie matki. Córka zamiast radości, prawie lży miała w oczach; to rzecz była niepojęta.

Ona i p. St. Aubin dawały sobie jakieś znaki; podróż spodziewanego wrażenia nie zrobiła.

Sędzina, zakręciwszy się, nieco zmieszana, powróciła do małżonka. Pani St. Aubin skorzystała z tej chwili, by przypaść do wychowanki i wybać ją a nawrócić. Ona sama wcale nie była prze-

ciwną przejażdżce do Warszawy — potrzebowała dystrakcyi.

— A ja — rzekła cicho panna — wcale sobie nie życzę teraz ani wielkiego świata, ani opuszczenia tych miejsc, które mi się stały drogami. Podróż mnie nie rozerwie; utrudni tylko wiadomości od niego, powiększy niepokój.

Na co mi ta Warszawa?

Wyrażone przez pannę sentymenta, tak były różne od tych, jakich dawniej doznawała, że Francuzka dopiero teraz uwierzyła, iż owa miłość sielankowa, przez nią uważana za zabawkę, była uczuciem, z którym się rachować musiano. Nastraszyło ją to trochę; dotąd nie brała romansu tak na seryo; teraz zlekła się odpowiedzialności — i podróż do Warszawy wydała się jej tem potrzebniejszą.

Leonilla też, choć jej przykro było opuszczać Łopatycze, nie mogła obojętnie myśleć o stolicy i dała się nią skusić. Mówiono o balach, o teatrze królewskim, — a świat wielki dla młodych jest, co najmniej, ciekawym — nawrócić ją więc nie było bardzo trudno. Ojciec nalegał, matka była szczęśliwa, p. St. Aubin trzpiotała się, myśląc o podróży. Leonilla choć smutna, choć wzdychająca, poddała się woli otaczających.

Wyruszono według zwyczaju dworno do Warszawy, przodem wysławszy Brackiego, aby mieszkanie zamówił, opatrzył i przygotował.

W Sierhinie dowiedział się Strukeczaszye zarazem przez żydów, że mu las na dyferencyi wyciąć w pień zamierzono i że wróg jego z całą rodziną do stolicy wyruszył.

Hojski, kombinując po swojemu, domyślał się, że podróż bez jakichś planów i kalkulacyj przedsięwziętą być nie mogła.

— Nie pojechałby, zagrożony będąc wywłaszczeniem, niemając grosza, gdyby tam czegoś nie knuł i jakiejś się dywersyi nie spodziewał!

Kocha córkę i daje się jej wodzić za nos—może być—ale nie jest tak ciemny, żeby nie widział co mu grozi.

Posłano po Kaczora, aby dalsze roboty potajemne przyspieszyć. Strukeczaszye chciał z niebytności Czemeryńskiego skorzystać.

Tymczasem sędzia przybył do Warszawy, a pierwsze wrażenie, które miasto, dom, mieszkanie i cały ten świat nowy uczynił na Leonilli, było najniekorzystniejsze. Nie podobało się jej tu nic; otwarcie mówiła, że żal jej było Łopatycz; Czemeryński zafrasowany chodził, lecz spodziewał się zmiany. Francuzka mu ją obiecywała pocichu. Sędzia jak tylko się rozpakował, pobiegł do Podkomorzego. Obmyślono środki zbliżenia p. Vogta do sędzianki.

Na intencję, żeby się jej podobał, Czemeryński się modlił, czuł bowiem, że w razie oporu córki, si-

ły do narzucenia jej Niemca mieć nie będzie. Umówiono się naprzód o to, aby owego panicza sędziemu prywatnie pokazać.

Córka Podkomórzego, a dzisiejsza hrabina niemiecka, była właśnie z mężem przy dworze. Zaproszono Czemeryńskiego na wieczерę do saskiego pałacu, gdzie w skrzydle państwo grafowstwo mieli apartamencik, bo sam pan królewskim był szambelanem.

Z bijącym sercem sędzia ustrojony puścił się o wyznaczonej godzinie, szukając mieszkania młodej grafini. Wyobrażał je sobie bardzo wspaniałem i obszernem, zapomniawszy, że król tu był gościem, a ci, co mu służyli, stali niemal jak w gospodzie, w pałacu, który mnóstwo urzędników dworskich mieścić musiał.

Zdumiał się, gdy go w skrzydle wprowadzono przez ciasną sionkę, do przedpokoiku, wprawdzie pięknie obitego, ale nabitego też służbą—a wprost z niego do dużego pokoju, w którym się już ciężko było obrócić.

Szambelani, dygnitarze, powracający właśnie z polowania, wchodzili i wychodzili, mieniając się. Piękna grafini przyjmowała wraz z mężem, a zobaczywszy starego znajomego sędziego, uprzejmie go powitała.

Mówiono więcej po niemiecku niż po francuzku, łamanym językiem, a Czemeryński tak jakoś był

skonfundowany, że sławna jego francuszczyzna, którą się posługiwał, z trudnością mu dziś przychodziła.

Nim jeszcze podano wieczerzę, którą państwo grafowstwo brali z królewskiej kuchni, Podkomorzy, assistujący Czemeryńskiemu, wskazał mu na uboczu u komina, w wojskowo-myśliwskim ubraniu, stojącego, bardzo słusznego wzrostu mężczyznę, twarzy ni pięknej ni brzydkiej, biało kurowatego blondyna, który budową całą i olbrzymiami, a niezbyt zgrabnemi, kształty, zdradzał swe pochodzenie świeże od pracowitego ludu.

Strojnym był błyszcząco i jaskrawo—lecz go to nie czyniło piękniejszym.

— Na hajduka wygląda!—szepnął Czemeryński.

— Ale, co znów—odparł Buchowiecki—nie znasz saskiej szlachty, wszyscy oni tacy dragale.

Pan Vogt, którego tytułowano lejtnantem, był śmiały i mówił wiele, obserwował jednak sędziego, że inni dworacy, wojskowi, szlachta, szambelanowie, lekce go sobie wazyli, niezbyt słuchali, gdy się odzywał, obracali się do niego tyłem—a on też ustępował im z drogi, milkł, i aż nadto się pokornie akomodował. I to mu się w nim nie podobało. Przed wieczerzą zaprezentowano p. Vogta sędziemu i wzajemnie, a że po polsku nie umiał więcej nic, oprócz — „pana topocieja,“ rozpoczęli z sobą konwersację ową sławną francuszczyzną.

Oficer mówił wprawnie, ale zamiana ciągle *b* na *p*, *d* na *t*—i odwrotnie, Czemeryńskiego mieszała i nie dawała się im porozumieć. Młodzieniec był grzeczny zarazem i potroszę gburowato wojskowy. Przed szlachtą saską pokorniał, ale z Polakiem nie robił sobie zbytnej ceremonii.

Przez cały wieczór obserwując go Czemeryński, gdy wyszedł westchnął ciężko, niebędąc pewnym wcale, żeby lejtnant od świec łożowych, córce się mógł podobać.

Sas, już zapewne uwiadomiony o co chodziło i jak rzeczy stały z Czemeryńskimi, — przypatrywał się przyszłemu teściowi z ciekawością, lecz bez zbytnej pożądlivosti przypodobania się mu.

W domu napomknął sędzia, że poznał bardzo miłego niemiaszka, wprawdzie nie grafa, ale niezmiernie bogatego, którego pewnie Podkomorzy do nich przyprowadzi.

Domyślną Leonillę dotknęło to mocno. Gdy razem z p. St. Aubin poszły do swojego pokoju, odezwała się do niej:

— Ja już wszystko wiem! Widzę, że mnie tu myślą swatać. Z tego nie będzie nic. Moje serce już nie należy do mnie!

Z trudnością przychodzi nam tu wytłómaczyć postępowanie Francuzki. Widzieliśmy ją płocho a gorąco zawiązującą intryżkę romansową z panem Erazmem, dopomagającą do niej serdecznie, intere-

sującą się losem kochanków. Moznaby z tego wnieść, że musiała stanąć po stronie wychowawcy i powinna była popierać sprawę jej serca.

Ale—jak tylko znikł p. Erazm, ostygło mocne we Francuzce zajęcie się nim. Chwila obecna i ludzie żywi silniej na nią działali zawsze niż wspomnienia. Miłość stała, z przeszkodami, zachwycała ją w romansie, w opowiadaniu; ale w praktyce gotowa ją była p. St. Aubin zawsze godzić z wymaganiami rzeczywistości.

Czemeryński, znając jej wpływ na córkę, szepnął zawczasu o bardzo bogatym pretendencie, dając przytem do zrozumienia, że gdyby powiodło się z nim, pani St. Aubin mogła na wdzięczność rachować. Zachwiało to jej przekonaniem. Pana Erazma, nie zbyt majątnego szlachcica, choć pięknego chłopca, uważała już za partyę niewłaściwą może, a cierpieć dlań—na to się jej serce wzdrygało.

Gdy p. Leonilla tak stanowczo oświadczyła, że chce ukochanemu wierną pozostać, Francuzka zmilczała znacząco—nie pochwałała ani ganiła.

W parę dni ukazał się pan lejtnant Vogt z Podkomorzym, ubrany nieco śmiesznie, ale bogato i błyszcząco. Sędzina przyjęła go uśmiechami i migami, sędzia—francuszczyzną. Pani St. Aubin dano znać, ażeby wyszła z Leonillą a przedtem czuwała nad jej ubraniem. Nierychło jednak, dosyć nadaśana,



raczyła się ukazać panna, z miną tak dumną, z humorem tak niepociągającym, że p. Vogt, chociaż musiał nią być zachwycony — trzy razy próbując rozmowy, ledwie dwa słowa pogardliwie rzucone otrzymał.

Sędzia dobrym humorem i uprzejmością starał się za to wynagrodzić.

Gdy po krótkiej wizycie pan lejtnant wyszedł, pierwsze słowo, które się z ust Leonilli wyrwało, było szyderstwem z jego francuszczyzny i stroju.

Ojciec struchlał.

— Moje dziecko—odezwał się—ja już prawdziwie nie wiem, kto ci się podobać może, kiedy tak dystyngowany kawaler w oczach twych nie znalazł łaski....

— Kochany ojcze—odparła Leonilla—może on jest dystyngowany i dla saskich panien miły—mnie się wydał śmiesznym.

Rodzice zmierzyli się oczyma; ojciec skinął na p. St. Aubin, polecając jej nawrócenie córki,—i dało pokój rozmowie.

Panna Leonilla, jakby na przekór, ciągle ruchy niedźwiedzioвате i mowę saską kawalera naśladowała szydersko.

— Jestto jednak pono najbogatszy panicz na dworze—dodał ojciec.

— Cóż nam tam do jego bogactw!—odezwała się Leonilla,—juściż tatko nie myśli mi go dawać na

konkurenta, bo ja, jak królowa Wanda w piosence, za Niemca nigdy nie pójdę.

Czemeryński prychnął.

— Dlaczego?—zapytał—a podkomorzanka?

— Ja — odparła Leonilla — mam swoje przywidzenia i kaprysy, to trudno. Prawda, że tatko nie jada cielęciny? no—ja tak samo Niemców nie lubię. Rozśmiała się dziwnie, wstała i wyszła. Czemeryński siedział jak przybity.

Pan Vogt właśnie dlatego może, iż panna go z góry traktowała i okazała się tak dumną, może też, że w istocie piękną była, nawet z tą swą dumą i chmurą na czole—wyszedł nią zachwycony, uściśnął Podkomorzego i oświadczył z zapalem nadzwyczajnym, iż nigdy w życiu tak pięknej i dystygowanej osoby nie widział.

Pani St. Aubin pocichu odebrała instrukcye. Gdy wieczorem znalazły się same, zaczęła od pochwał p. Vogta.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość—rzekła—ma wiele fizygnomii, prezentuje się po dworsku i całe jest do rzeczy!

— Ty go chwalisz?—spytała marszcząca się samowolna zawsze sędzianka.

— Zmusza mnie do tego miłość prawdy. Znajduję go bardzo przystojnym.

Z założonemi na piersiach rękoma wysłuchiwała

tłómaczenia Leonilla, potrząsnęła głową, stanęła naprzeciw Francuzki i odezwała się stanowczo:

— Moja St. Aubin, bądź zemną otwartą. Rozumiem, że cię o to proszono, abys go forytowała, a to się na nic nie przyda. Znasz mnie, jestem strasznie uparta. Nie łatwo pokochałam, ale moja miłość wszelkie próby przetrwać gotowa.

Francuzka zmieszala się nieco.

— Widzisz serce moje—dodała—miłość a małżeństwo są to dwie rzeczy odrębne. Miłość czysta najpiękniejszą jest, gdy się w lzy rozplynie, a—konieczność zmusza oddać rękę innemu—i—ostatecznie można być z tym kim innym prozaicznie szczęśliwą!

— A! rozśmiała się Leonilla—masz zawsze na swe posługi argumenta.

Potrząsnęła piękną główką.

— Zemną się to na nic nie zdało; ja jestem upartą; gdy raz kocham, to silnie i na wieki.

— A któż ci broni go kochać? — odpowiedziała St. Aubin, nosić go w sercu i pamięci, czasem mu nawet lę poświęcić, a gdybyście się w życiu spotkać mieli.... Tu jakoś zamilkła zaturbowana.

Leonilla dumnie potrząsała główką.

— Wszystko to, wierzaj mi, nie dla mnie — odparła.

Francuzka próbowała nieśmiało z rzeczywistością pogodzić wychowanke, lecz się jej to nie uda-

dało. Leonilla w końcu i słuchać i mówić nie chciała.

— Ma dużo charakteru ta dziewczyna! — szepnęła sobie, głową potrząsając Francuzica — lecz — powoli... ulegnie.

Lejtnant zaczął częściej bywać w domu; panna go zawsze przyjmowała jednakowo.

Sędzia zaklął boję, aby stanowczy atak przypuściła do córki, poczem sam się z nią mówić wybierał. Tej rozmowy obawiał się i rad był ją odłożyć.

St. Aubin jednego wieczora powróciła do Niemca i jego apologii.

— Proszę cię, moja St. Aubin, na co ty daremnie się męczysz, usiłując mnie nawrócić, gdy wiesz, że z tego nie być nie może?

— Ja właśnie sędzę, że z tego koniecznie coś być powinno — zawołała Francuzka. Mam sobie do wyrzucenia doprawdy, że podałam rękę do tego waszego nieszczęsnego romansu; chciałam bym złe naprawić!

— A! a! — uśmiechnęła się słodko Leonilla — tak już mówisz!

— Bom się przekonała, że z tego nie być nie może. Sędzia nienawidzi Hojskich, to są ludzie małej ekstrakcyi, drobna szlachta, podobno niemajątna. Sędzia jest w interesach — potrzebuje bogatego zięcia, któryby mu dopomógł ojczysty majątek

utrzymać. Sas jest ogromnie bogaty i zakochany w tobie.

Leonilla wysłuchała cierpliwie.

— Moja St. Aubin — odezwała się obojętnie — czy wolisz, żebym ja przepadła raczej niż majątek?

Francuzka rzuciła się ją ścisnąć, protestując, że nikt nie powinien przepadać, że się do Niemca można przyzwyczaić — a ojca należało ratować.

Sędzianka coś na to odpowiedziała niewyraźnie, lecz w postaci jej i wejrzeniu tyle było energii, iż St. Aubin zwątpiła o sobie.

— Panie sędzio, szepnęła po cichu nazajutrz — niechaj pan sam mówi z córką. Ja już wyczerpałam wszystko.

— I cóż?

— Nie mogę jej ku niemu nakłonić, ma wstręt...

Czemeryński, który córkę kochał, czuł swą słabość dla niej, zawahał się z wystąpieniem, chciał jeszcze przodem wysłać sędzinę. Biedna jejmość pochwyliła go za kolana, potem siebie za głowę, zaczęła się modlić i wymawiać.

— Kochasiu, rybko moja złota, ja nie mogę! Ja nie do tego! Nie — to nad siły, nie potrafię.

Właśnie dnia tego nadbiegł Podkomorzy, nalegając, że Sas gwałtem chce słowa stanowczego i przygotował już do ojca sztafetę, że obiecuje wszystko czego zażądatają od niego, byleby mu pannę dano. Czemeryński zwlekać już nie mógł. Po obiedzie uło-

żono tak, że się samnasam został z Leonillą. Panna może się nawet domyślała czegoś, nie skarżyła się jednak i nie uciekała.

— Moje ty najdroższe dziecko — począł ścisnąć ją ojciec, ty wiesz jak ja cię kocham, jak twojego szczęścia pragnę?

— Wiem, mój drogi tатku! — no o cóż to idzie, bo coś bardzo poczynasz seryo!

— Sprawa też seryo — rzekł sędzia: — Wiesz co mnie zdrowia i życia kosztują ci Hojsey — zbójcy i ujadacze. Strukezaszyc mi na karku siedzi, grożąc zabranie trzech wiosek. Pieniędzy nie mam; on długi nabywa: wypędzi mnie z torbami.

Leonilla słuchała, nieokazując wzruszenia.

— Ty jedna, poczciwe moje dobre, kochane dziecko, ocalić mnie możesz!

— Ja? — szepnęła cicho córka.

— No — ty — ty — rzekł śpiesznie Czemeryński. — P. Lejtnant Vogt oświadcza się natarczywie o rękę twoją, gotów oczyścić majątek. Szaleje, kocha cię.

— A ja go cierpieć nie mogę — odezwała się Leonilla.

Odpowiedź była tak straszliwie stanowczą, że Czemeryński ręce załamał.

— Ja go cierpieć nie mogę! — powtórzyła. — Więc, czy tатko woli mnie stracić czy dwie wioski? Pytanie to usłyszawszy, osłupiał sędzia.

— Mniejsza-by było o wioski, ale patrzajże kto je zagarnie — krzyknął. Niepoczciwy Strukezazycy będzie tryumfował! On! wróg! a ja upokorzony, zwyciężony będę musiał uleść temu niegodziwcowi i zwał! pomyśl, kalkuluj!

Leonilla nie zdawała się czuć tak silnie tych następstw jak ojciec. Spuściła głowę tylko.

— Za tego Niemca ja wyjść nie mogę—dodała — nie mogę.

— Zgubisz więc mnie! — wołał sędzia.

— Chcesz, ojczu, żebym siebie zgubiła! — podchwyciła Leonilla.

Czemeryński zamilkł; spojrział kwaśnie na córkę i zdziwił się, niewidząc na jej twarzy poruszenia, trwogi,—nic oprócz energii, której złamać się nie spodziewał.

— Więc o jedno cię proszę—zawołał—nie zrywaj, rozmyśl się, zostaw mnie i jemu nadzieję.

— Która się nie ziści — powtórzyła Leonilla, bo ja ojcu powiadam, że za niego nie pójdę nigdy, ani teraz, ani za lat dziesięć, choćby był dziesięć razy bogatszym, a nam jedno tylko Łopatyńce zostały.

— A może to być, że ci zbóje i ostatnią wieś zabiorą! — krzyknął sędzia.

Córka nie na to nie odpowiedziała; zbliżyła się tylko do ojca, objęła go za szyję — przytuliła się doń.

— Tatku, tak źle nie będzie — ja ci mówię — bądź spokojny.

— A z kądze ty możesz wiedzieć jaka się nam przyszłość gotuje!

— Ja? — mam przecucia, tatku! Rozśmiała się smutnie.

Jeżeli Niemiec się chce przejechać w Kobryńskie? — któż mu broni?

A proszę się nie smucić! — proszę być wesołym! Pocałowała ojca raz jeszcze i — znikła.

Czemeryński stał i dumał.

— Płochę to, nierozważne! — sama nie wie co plecie, a uparta!!! Dziej się wola Boża! Niemca trzeba trzymać w odwodzie. Gwałtu jej zadawać, nie podobna.

Chociaż Francuzka, na stronę lejtnanta Vogta nawrócona, pilnowała teraz uczennicy swej, starając się o to, ażeby listów nie wysyłała, znalazła ją daleko przebieglejszą, niż się spodziewała.

Leonilla, jak tylko odkryła zmianę w swej nauczycielce, cofnęła jej swe zaufanie. O listach mowy nie było.

Śledząc po nocach, doszła Francuzka, że listy się pisywały, ale nie potrzebowano pośrednictwa jej do przesyłania.

Strwożyła się tem.

Jednej nocy, gdy sędzianka potajemnie wstała dla przygotowania korespondencyi, St. Aubin we-



szła do niej w nocnym przyodziewku, chwytając ją na gorącym uczynku i poczynając wymówki, że już na wiarę nie zasługuje, kiedy się przed nią ukrywa.

Leonilla zasypała piaskiem poczęty list, wstała z uśmiechem od stolika, chowając papier za gors i odezwała się, wcale nie zmieszana tem nocnem najściem.

— Moja St. Aubin — jaka-bo ty jesteś dziwaczna! Wiem, żeś przestała lubić mojego ulubionego, że wolisz Niemca; nie chciałam ci czynić przykrości, a dla miłości twej i dla niczyjej w świecie ja serca zmienić nie mogę.

— Lecz, zlitujże się, co z tego będzie! — mnie uczynisz nieszczęśliwą, — ojca i matkę.

— Czem?

— Twoim uporem, moje dziecko! Sędzianka ruszyła ramionami.

— Kochana St. Aubin — dodała, patrzaj, że już po północy, idź spać, i bądź spokojną.

— Ale ja spokojną być nie mogę! — Leonilla ją uścisnęła:

— Weź kropli na uspokojenie — odezwała się — doprawdy nie ci innego poradzić nie umiem.

Francuzka, napróżno starając się wybadać, jakimi drogami wychodziły listy, straciła jeszcze z pół godziny na rozmowie i odeszła z niczem.

Nie poznawała uczennicy. Leonilla była zawsze dosyć samowolną i obstającą przy swoim, ale zara-

zem kapryśną; tej mocy ducha, ani tej siły uczucia, nie domyślała się w niej nauczycielka.

— Otóż, jak to nigdy z dziećmi nie na żart robić nie można! — mówiła zmartwiona, kładąc się do snu.—Osoby dorosłe, rozumne, nie biorą tak zabawki do serca.—Jej nie można wybić z głowy dziecinnej rozrywki, na którą niepowinnam była pozwolić.—Nie umiałam się oprzeć.... Jakże to było zabawne—ta para zakochanych— a teraz!

Wyznać przed sędzią nie podobna było, srodze się nieobwiniając: p. St. Aubin musiała mileżeć i przeklinała nieopatrzność własną.

Po długich namysłach, postanowiła chwycić się jeszcze jednego środka: napisać do pana Erazma, zaklinając go, aby biednego dziecięcia nieszczęśliwym nie czynił i sam dobrowolnie wyrzekł się wszelkich stosunków. W liście niezmiernie długim, poplątanym, wykrzykników i wstawów pełnym, uwiadamiła go razem, że niezmiernie majątny młodzieniec o pannę się starał, miał rodziców za sobą i, bądźcobądź, Leonilla za niego wyjść musi.

Znając adres wileński pana Erazma, z pierwszej poczty skorzystała Francuzka, aby ten trzykuszowy list wyprawić. Zdawało się jej, że tem wszelkiemu złemu zaradzi.

---

Gdy w Warszawie tak groźne zamachy na szczęście dwojga zakochanych knowano, pan Erazm na wygnaniu wileńskim, daleko mniej cierpiał, niż się zrazu na to zanosilo.

Zaczawszy od Kasztelanowej dnia pierwszego, powoli potrafił sobie najnieprzyjaźniej usposobionych pozyskać. Przekonywano się coraz bardziej że szpiegować nie myślał, że pieniędzy nie potrzebował, na spadek nie rachował wcale, a w domu nie zawadzał nikomu.

Wszystkie trzy towarzyszki pani domu, pani Ostrogradzka, panna Eulalia i Olimpia — w kilka dni zgodziły się już na to, że miłym był nadzwyczaj, dobrym, grzecznym, a nadewszystko taki był — ładny!

Jak kobiecie tak mężczyźnie, ten dar boży, piękność znikoma, rzecz na pozór mało znacząca, pogardzana, nieraz w życiu więcej niż rozum pomaga.

Gotowano się go prześladować i wykurzać, a teraz pieszczono i nadskakiwano. Kasztelanowa uśmiechała się do niego, a gdy była w bardzo dobrym humorze, szczypała go za twarz, pociągała za ucho, całowała w czoło — jako stryjenka. Pani Ostrogradzka prześladowała ją tym faworytem. Panny stare, Eulalia i Olympia, w napilniejszym interesie biegnąc z kluczykami, zakrywały się, gdy się do nich uśmiechnął lub zagadał.

Widząc to, rozumny Płachciewicz konie posta-

wił w dużej stajni, otworzył mu drugi pokój, dbał o jego wygodki — i zmienił się, w najniższego sługę.

Cały dwór Kasztelanowej, który Erazm hojnemi dostatkami sobie ujmował, przepadał za nim.

W wiecznych ambarasach ze swą korespondencją, interesami, wizytami, pani domu ośmielała się czasem Erazma prosić o pomoc, z którą on przychodził wesoło, ochoczo, zabawiając staruszkę i z nadzwyczajnym pośpiechem ekspedując to, nad czem jejmość całe dnie trawiła.

Nie nadużywano go jednak, bo wszyscy to czuli, że młodzieniec potrzebował powietrza, rozrywki, i swobody: Erazm więc bujał sobie po Wilnie, a że u Jezuitów natrafił na dwóch patrów, których tu przeniesiono z Lublina, chadzał do Collegium i tam z dojrzałą młodzieżą pozawiazywał stosunki. Z nią na Pohulankę, do Zakretu, na Antokol, w okolicę pięknego Wilna robiły się wycieczki.

Erazm nie dręczył się swoją miłością, bo był pewnym i serca sędzianki i swojego.

— Jak Bóg Bogiem, moją być musi — powtarzał.

Korespondencja przez ciocię Blandynę nawet z Warszawy szła, choć spóźniona, nieco szczęśliwie. Odebrawszy list, Erazm go naprzód wycalał, potem czytał i pożerał, odczytywał i na sercu nosił. Miłośne pisma, dopóki trwa to uczucie, są

to najstraszniejsi podżegacze, działają na serce i na umysł, pali się od nich głowa, goreją piersi.

Jednego dnia trafiło się tak jakoś szczęśliwie, że dwa naraz listy pan Erazm odebrał. Zdziwiło go, że jeden z nich był nieznaną mu napisany ręką. Rzucił się naprzód na pierwszy, który był od Leonilli — ale czytając go zesmutniał. Pisała z Warszawy, nietając co ją tam spotkało, jak ją zdradzała St. Aubin, a zapewniając krótko i stanowczo Erazma, że jej nie zmienić i woli jej złamać nie potrafi.

Przypisek był jakiś dziwny, bo czytając go podskoczył Chojski, czytał go razy kilka, zarumienił się, zaczął biegać po pokoju i nierychło potrafił się uspokoić. Zapomniał nawet o drugim liście leżącym na stoliku i nierychło go otworzył. Ten był od P. St. Aubin, jak wiemy, zaklinającej go na wszystko, ażeby się wyrzekł marzeń i nie kusił o to, co było niemożliwym.

Rzucił go z niechęcią.

List Leonilli zajął go nadzwyczajnie, wrócił do przypisku jeszcze i zadumał się mocno.

Nazajutrz Kasztelanowa go wezwała w pomoc do siebie, i znalazła zmizerniałym: — smutnym.

— Co ci to jest?

— Mnie? — nic.

— Jakież ci-tam listy noszą! Słyszę wczoraj dwa odebrałeś; pewnie co złego?

(Policya w domu Kasztelanowej, przez niewiasty utrzymywana, była doskonałą.)

— Może od ojca? — dodała stryjenka.

— Nie — rzekł krótko Erazm.

— No, to mi się przyznaj — nalegała jejmość. — Co będziesz przedemną tajemnice czynił! Już że to sercowe sprawy, — ręcę. Mogłabym ci dopomódz, słowo daję. Jak widzisz, stara jestem, ale mam li-  
tość nad stale się kochającymi.

— Stryjenka dobrodziejka, gdyby nawet chciała i była tak łaskawą, dopomódz mi nie może.

— A to dla czego?

— Ojca nic nie potrafi zmienić, a — ojciec będzie przeciwnym. — rzekł, uśmiechając się Erazm.

— Mów-bo mi od A do Z, mów wszystko, cóż to jest! — zawołała Kasztelanowa — już, choć widzisz jak jestem zajęta, ale wysłucham do końca. Mów!

Zaczęła nalegać stryjenka. Erazm pomyślał — i zwierzył się jej ze wszystkiego.

P. Ostrogródzka z poddrzwi tylko podsłuchiwała.

Dla staruszki ten romans, ta sielanka wpleciona do dramatu waśni sąsiedzkiej — urok miała nadzwyczajny. Słuchała, pytała, uśmiechała się i nasycić się nie mogła.

Z piersi Erazma, gdy mówił, ziało uczucie tak gorące, że Kasztelanowa czuła się niem odżywioną, odmłodzoną, przejętą.

Z żywością niezmierną natychmiast zajęła się losem dwojga kochanków. Wypłatanie psikusa panu Strukezaszycowi wchodziło też pewnie w rachunek i sprawiało przyjemność starej damie, bo go nie lubiła.

Aż do obiadu trwała rozmowa, narady, i Erazm wyszedł od stryjenki weselszy, znalazłszy w niej sprzymierzeńca, którego się wcale nie spodziewał.

Kasztelanowa po obiedzie zaraz, mimo najuroczyściej przyrzeczonej tajemnicy, całą tę historję opowiedziała trzem swym towarzyszkom; wszystkie jednogłośnie głosowały zatem, że nieszczęśliwemu młodzieńcowi należało dopomódz; a nazajutrz z twarzy pani Ostrogradzkiej, panien Eulalii i Olimpij, mógł się domyślić Erazm, że o jego tajemnicy wiedziały.

Kasztelanowa przez kilka dni tak była tą nową sprawą niezmiernie przejęta i zakłopotana, iż dla niej o wszystkim zapomniała.

Czwartego ranka niespodzianie Erazm chłopcu kazał zaprzęgać, upakował się i w pałacu ogłoszono, że Kasztelanowa wysyła synowca na obejrzenie majątku. Jesień już była dosyć późna, ale pora ciepła. Młodzieniec, o ile się to dało zrobić, starannie był na drogę uprowidowany i po tajemnej naradzie z Kasztelanową wyjechał.

Wszystkim po nim było tęskno. Pocieszano się tem, że miał jakoby powrócić. Zaraz za Wilnem

chłopak powożący, przekonał się, że do dóbr pod Witebskiem położonych nie jechali: pan Erazm kazał tak zawrócić — jakby do domu. Chłopakowi, który tam także najukochańszą, Paraskę, porzucił, do której dwór się cały zalecał, nadzwyczaj to było przyjemnem.

Jednego jesiennego poranku, panna Blandyna miała z suszonemi grzybami do czynienia, gdy obdarty żydek, zagadawszy coś o pierzu, które jakoby życzył sobie nabyć, wetknął jej w rękę karteczkę, dając dziwne jakieś znaki. Strwożona mocno ciocia, zdawszy grzyby chwilowo na pomocnicę, poszła do swojego pokoju, włożyła okulary, stanęła w oknie i cała drżąca czytać zaczęła. List był od pana Erazma. Nie zrozumiała go w początku, potem zbladła, zmówiła parę zdrowasiek, kartkę odczytała jeszcze raz i spaliła nakominku, szczypcami ją poprawiając, ażeby spłonęła do szczętu.

Żydek, który pierza potrzebował znikł wkrótce jak kamfora, a gdy do obiadu wyszła panna Blandyna, tak była zmieniona, iż Strukczaszyce spytał ją o zdrowie.

— Fluksya mnie męczy — odparła krótko.

— Na to niema jak figa w mleku gotowana, — odezwał się stary, wszakżeś mnie asińdzka sama tem wyleczyła.

Pomimo tej fluksyi p. Blandyna naparła się — była to sobota — pojechać na nieszpór do kościoła.



Strukeczasyc się oparł; ciocia stała przy swoim.

— A ręczę, że z gębą napuchłą powrócisz — dokończył Hojski—ja nie bronię robić głupstwa, ale panu Bogu fluksya aśińdzki, ba, i nabożeństwo to, nie na wiele się przydadzą.

Kazano zaprządz do bryczki—i ciocia pojechała. W istocie kazała furmanowi stanąć przed bramą kościołka, weszła do niego, wysliznęła się furtką boczną i—bryczka stała tu, choć już było dawno po niesporach, niemogąc się doczekać p. Blandyny.

Ciocia tymczasem w małej izdebce w karczmie odbywała jakąś konferencyę, z kimś niewiadomym, świeżo tu przybyłym. Słysząc było czasem wybuchający jej głosik, który natychmiast przycichał, i jakby płacz i szybką mowę mężką, a gdy mrokiem wyszła panna Blandyna szukać bryczki, chwiała się na nogach.—Powróciwszy do Sierhina, dostała burę ogromną od brata i poszła się skryć do swojego pokoju. Strukeczasyc tryumfował, gdyż fluksya tak się zwiększyła, że ciocia na wieczereć wyjść nie mogła i w łóżko się położyła. Minęło dni kilka spokojnie; panna Blandyna wyzdrowiała, lecz choroba zostawiła ślady po sobie. Była jak nieswoja, trwożyło ją każde głośniejsze stuknięcie, turkot, rozmowa żywsza. Wybiegała do sieni, oglądała się oczyma strwożonemi i powracała do swego pokoju.

Jednego dnia nad wieczór zaturkotało; ciocia wybiegła zobaczyć, poznała Kaczora i uspokojona poszła do siebie, gdy w tejże chwili w pokoju Strukezaszyca rozległ się jakby grzmot, jakby wybuch jakiś, jakby śmiech potężny.—Poznała w nim pana Blandyna głos brata, lecz nie mogła pojąć co mogło go do tak nadzwyczajnego wykrzyku pobudzić.

Drzwi się otwarły i potężnym swym basem Strukezaszyce — zawołał:

— Blandyno!

Biegła już do pokoju.

Tu Kaczor stał u drzwi, czapkę jeszcze w rękę trzymając, a przed nim Strukezaszyce, trzymający się za boki, z ustami otwartymi, z wyrazem takiego osobliwego uszcześliwienia, jakiego nigdy nie zwykł był okazywać.

— Ale, chodź-że! — posłuchaj! — począł.—Jak Boga kocham, że tak szczęśliwy jestem, jakby mnie kto na sto koni wsadził! Tylko czy to prawda? — czy prawda?

— Jak Boga kocham! — wszyscy bębnią — słowo panu daję najświętsze! — zawołał Kaczor.

— Słyszałeś! — he? — zapytał Strukezaszyce, ząpominając, że siostra tykoko weszła.

— Ja o niczem nie wiem! — Cóż się stało! — odezwała się Blandyna.

— Stała się najprzedziwniejsza rzecz, jaka się

stać mogła! — paradna! — przedziwna! — doskonała... *Digitus Dei!* — słyszysz aśińdzka!

Temu niezbożnemu Czemeryńskiemu jego córnia, owa lala, co tak z góry patrzyła na ludzi, z noclegu w drodze — uciekła!

Panna Blandyna ręce załamała, pobladła i aż się pochyliła, jakby miała osłabnąć.

— Cóż aśińdze jest? — zaśmiał się Strukezaszyc — ot, to wzięłaś do serca! A też-to rozkosz słuchać! Kara Boża na tych pyszałków, kara Boża — ale gadaj, komorniku, jak się to stało? Z kim uciekła, boć sama nie mogła! Jakim sposobem.

— Nikt nie wie, wszyscy jak w rogu! Nikogo tam nie było, z kimby mogła uciec! Niewiadomo jak się to stało, tyle tylko wiem, że nagle im znikła z ostatniego noclegu. Starzy włosy z głowy rwą.

— Pewnie z jakim oficjalistą! — odezwał się Strukezaszyc.

Panna Blandyna, trochę do siebie przyszedłszy, tak jednak była pomieszana, iż brat począł ją strofować.

— Czegóż-bo zaraz tak do serca brać, że się jedna z waszego bractwa panieńskiego źle popisała! Ochłoń-że już. Ja się raduję, i mam czego, jak Boga kocham, a waćpanna masz minę, jakbyś, na złość mnie, płakać chciała.

Panna Strukeczaszanka tyle tylko, że posepniejszą twarz przybrała.

— Ale gadaj, komorniku, co wiesz. Toć ciekawa historia! Jak się to stało?—dołożył Hojski.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że ja tyle tylko wiem, iż panny niéma. Nikt mi nie więcej powiedzieć nie umiał, głowy wszysecy potracili.

Mówią tylko, że w Warszawie jakiegoś Niemca jej forytowali, którego tak nienawidziła, że z obawy, aby ją za niego nie wydano—drapnęła.

— Znalazłszy towarzysza!—dodał Strukeczaszye. Obejrzał się na siostrę.

— Ale, przyjdź—że asinúdzka do siebie! Co-botakie miny robisz, jakby nas co ta dziewczyna obchodziła! Dobrze im tak! dobrze—rozgadał się Hojski—wychowywali ją po francuzku, i postąpiła sobie jak Francuzka—bryknęła im z domu!

A ja—rzekł ciszej—i z tego względu Panu Bogu dziękuję, że mnie to wielki kamień z piersi zdjęło.

— Jaki?—spytał komornik.

— Ale, ba,—gładząc się po głowie i jakby zawstydzony, odezwał się Strukeczaszye. Wstyd mi się przyznać. Mam jedynaka, jedyne oko w głowie; z tej troskliwości o niego, to człowiekowi najgłupsze myśli przychodzą. Podpatrzyłem u mego Erazia, kilka cyfer na papierach, wszędzie pisał L. C.—L. C.!—właśnie jakby Leonilla Czemeryńska—a że ją widział u Podkomorzego, przyznaje

się, byłem w strachu, żeby się chłopiec nie zadurzył w tej lalce. Młodość jest głupia, a powiem tylko tyle — energicznie konkludował Strukezaszyc — wolałbym syna widzieć na marach, niż u ołtarza z Czemeryńską!

Panna Blandyna krzyknęła.

— Jak jegomość możesz mówić coś podobnego! Czy to się godzi! czy to po chrześcijańsku! Wstydzilibyś się.

Strukezaszyc wcale nie nawykły, aby mu siostra śmiała oponować, oczy wielkie na nią wytrzeszczył.

— A to co jest?—krzyknął.

— Co? co?—ofuknęła gniewnie p. Blandyna—to, że ojcu nie przystało wyzywać p. Boga i mówić o własnem dziecku na marach!

Hojski zamilkł.

— Nie ucz-że mnie rozumu! — odparł ponuro i zwrócił się do komornika.

— Gadaj co więcej! toć to przecie historyya! gadaj!

— Ja-bo nie wiem nic więcej!—rzekł komornik.

Strukezaszyc, niecierpliwy, chodzić zaczął po izbie.

— No, to napij się wódki, przekaś, siadaj na bryczkę, jedź z kondolencją do sędziego do Łopatycz—i wracaj mi się cożywo. Ja spać nie pójdę, aż się dowiem—co to się stało.

Komornik nie miał widocznie ochoty jechać tak zaraz, — wymówił się.

— Jutro rano.

— Z waści we wszystkim dojutrek!—zawołał.

Ale już się tak był nad miarę wygadał i twarz p. Blandyny mocno skłopotana, tak go męczyła, że zamilkł.

Kaczor postawił na swoim, i resztę dnia poświęciwszy rachunkom jakimś, dopiero nazajutrz ruszył do Łopatycz.

Tymczasem Strukezaszyc tak był niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej o ucieczce córki sędziego, że na trakt wychodził, w nadziei, iż od przejeżdżających dostanie języka.

Ale nikt jeszcze o niczem tak dalece nie wiedział, tylko to, że w Łopatyczach stało się jakies nieszczęście i że do gubernii po doktora posłano. Trzymano podobno w tajemnicy wypadek.

Komornik, pojechawszy zrana, jak w wodę wpadł. Spodziewano się go na obiad, nie przyjechał i nie zjawił się aż ku wieczorowi, gdy sędzia przeklinał go na czem świat stoi.

— Myślałem, że cię do czabanki wsadził sędzia!—zawołał, widząc przybywającego—coż tam robił cały dzień?

— Tak-to łatwo się co dowiedzieć!—odparł komornik.

— Gadajże, coś przywiózł.

— Niewiele — niemożna nie spenetrować — począł Kaczor — Do sędziego ledwie mnie dopuścili na chwilę, we dworze gęby pozamalowywane, jakby nic się nie stało. Tylko po ludziach znać, że im cięży coś na sercu. Z początku ani było co dobyć.

— Więc tają? to może kłamstwo? — przerwał Strukczaszye.

— A, niechże pan posłucha do końca — odezwał się Kaczor, poważną przybierając minę.

Sędzia mnie przyjął chory — skarżył się tylko, o interesach zagadnął i odprawił. Ludzie gadać też nie chcieli. Musiałem pójść do Śliwki, z którym jestem dobrze. Jego w domu nie było, wyszedł w pole. Siedź i czekaj. Śliweczyna—ani się z nią dogadać: nie wiem i nie wiem. Nareszcie przybył i on. Zakląłem go, do alkierza wzięwszy: Wiesz, że ja przyjaciel domu, nie zdradzę; mów co się stało? jak?— Ten mi na to: — A, myślisz, komorniku, że ja co wiem.—Jak w rogu.—Tyle tylko, że panny niema.

Począłem pytać: z kim uciekła? — Otóż to sęk — rzekł ekonom, że tego i dyabeł nie zgadnie. Panna była harda, na nikogo i patrzeć nie chciała. Supponują, że odjechała do ciotki, do matki Teressy do Lublina, ażeby jej rodzice Niemcem nie persekwowali. Posłano do Lublina, na wszystkie cztery wiatry.

Otóż tyle dobyłem ze Śliwki. Miałem już jechać, gdy około mostu spotkałem Prędkowskiego, ka-

merdynera sędziego, idącego z austeryi, jakby z przerebu. Zawsze z nim byłem dobrze. Wziąłem go na bok.

— Co za nieszczęście!—rzekłem.

— A, to komornik wiesz?—zapytał.

— Jakże, proszę waćpana (tu-m skłamał, Boże odpuść), sam sędzia mi mówił, ale pod sekretem.

To skonwinkowało kamerdynera, że mi usta i serce otworzył. Weszliśmy w zarośla.

Powiada, że przez cały czas podróży z Warszawy, po panie nie było widać nadzwyczajnego. Owszem, śmiała się, mówiła wiele, z ojcem i matką była jak najlepiej, a z Francuzki guwernantki drwiła, że miała nos na kwintę. Na popasach i noclegach, tylko miała taki zwyczaj, że się wypraszała na przechadzkę, przebiegła, że jej od siedzenia w powozie nogi zakłękły. Francuzki nie brała z sobą, tylko pieska Żolcia. Na ostatnim noclegu, choć deszczyk mżył, zapragnęła po lasku się przejść.— A już jak się uparła w czem, nie było na nią sposobu. Poszła. Tymczasem—Prędkowski powiada—kuchta wieczerzę przygotował, nakryli do stołu, czekają pół godziny, godzinę: niema panny. Myśleli, że się w lasku zbłąkała. Posłano służbę szukać, wołać,—na wszystkie strony: panny niema. Już i noc—strach czy się jej co nie stało. Ludzi wyprawiono z latarniami; sam sędzia wyszedł na gościniec, strach, trwoga—panny niema. Co tam



im do głowy przychodziło, Bogu tylko wiadomo; aż któraś ze służ, wszedłszy do pokoiku panny, znalazła na stole kartelusik. Na kartelusiku stały tylko te słowa: „Proszę o mnie być spokojnymi, kochany ojcze i matko: jestem pod dobrą opieką.“

I tyle.

— Hej? jak? jak? — podchwycił ciekawy Strukczaszye.

Komornik powtórzył i ciągnął dalej:

— Dopiero się okazało, co się święci. — Pierwsza Francuzka z aprehensyi zemdląła, że ledwie się jej docucili; matka też padła prawie bez zmysłów. Sędzia rozbeczał się jak bóbr.

— Dobrze mu tak! — przerwał Strukczaszye — Pan Bóg za mnie karze, za mnie, na dziecku! Dojadł mi, dogryzł, życie struł: otóż ma wymiar sprawiedliwości.

Ale, — żadna panna, żeby niewiedzieć jaka była, sama jedna na piechotę nie ucieka, choćby i od Niemca: gdzieś tam kawaler jakiś musiał być. Przysięgam, że był.

— A Prędkowski klnie się — rzekł komornik, iż żadnego, jako żywo, kawalera nie było i być nie mogło.

— Mój mościpanie — odezwał się sentencyonalnie Strukczaszye. — Kawalera jej stanu nie było, — może być; ale czyż sobie nie mogła upodobać oficjalisty i mieć z nim romansu? U takich dziewcząt, wycho-

wanych przez Francuzki, nie takie się rzeczy trafiają.

Pokiwał głową Strukezaszyc.

— A co więcej?—zapytał.

— Toć wszystko—odezwał się komornik. Sędzia rozesał na wszystkie trakty, po okolicy, do Lublina, kazał po karczmach przepytować, chłopów badać—no....

— I nic?—spytał Hojski.

— Ani śladu—rzekł Kaczor.

— Oczywiście rzecz, iż to było naprzód ułożone, napięte, ukartowane, a grosza-był nie dał—począł Hojski, że Francuzka do tego należała.

— Leży chora na gorączkę—odparł komornik.

Badanie się na tem skończyło.

Przebiegły Strukezaszyc, w którym nieszczęście nieprzyjaciela nie potrafiło obudzić litości, tegoż dnia zwierzył się przed komornikiem, iż porę uważał za najwłaściwszą do wystąpienia z pozwami o nabyte wierzytelności.

Kaczor delikatnym człowiekiem nie był, jednak zdawało mu się, iż dobijać tak srodze przez los dotkniętego sędziego, może nie uchodziło.

— A to mi dobre!—zawołał Hojski—acan chceś żeby ja przez głupią delikatność czekał pory niedogodnej dla mnie! Chybabym oszalał. Właśnie kiedy głowę stracił, trzeba korzystać i tego nań napaść,

Ja acanu więcej powiem — dodał Strukezaszyc, widząc z miny komornika, iż to nie trafiało do jego przekonania.—Sądź sobie co chcesz, ja to powinieniem uczynić przez miłosierdzie!

— Jak? przez miłosierdzie? — syknął zdziwiony Kaczor.

— A tak! — odparł Hojski z półśmiechem sardonicznym.—Człowiek już zbolały, zbity, to mu tam więcej jedno szturgnięcie bardzo nie będzie dolegać. Byłoby z mej strony okrucieństwem, gdybym, dawszy mu wytchnąć i wypocząć, dopiero go potem oprymował.

Komornik osłupiał. Spojrzeli sobie w oczy; Kaczor tą argumentacją był przerażony, uląkł się swojego pryncypała.

— Tak, kochany mój — ciągnął Hojski — przez miłosierdzie go dobić trzeba—aby się nie męczył.

A ja też względem tej szui obowiązków żadnych nie mam, tu idzie o moją skórę. Zatem śpiesz mi się waszmość z pozwami, i jak tylko na terminie nie zapłaci—tradować! tradować! tradować!

— Wie pan Strukezaszyc, rzekł eicho Kaczor— to go w istocie może dobić.

— Ha? jeśli w tem jest wola Boża! dodał stary — ja nie mogę się jej przeciwieć. My robimy swoje—kury do indyków nie należą.

Komornik zmilczał.

W kancelaryi przygotowywały się papiery.— Strukeczasycy przyspieszał o ile możności.

Sędzia w terminach nie zapłacił, protesta zostały do akt wniesione, obligi intabulowane; wlewki nabyte wynosiły sumę, za którą conajmniej dwie wioski zatradować było można. W urzędach Strukeczasycy sypał groszem i wszystkich miał po swej stronie.

Z nieubłaganą mściwością i nienawiścią ścigał nieprzyjaciela. Był tego przekonania, jak powiadał, że sam Pan Bóg sprzyjał słusznej jego sprawie i nią się opiekował.

Jakimś mileżącym tryumfem jaśniała twarz jego, gdy w niedzielę do kościołka pojechał.

Z Łopatycz, oprócz pisarza prowentowego nie było nikogo, ławka kolatorska stała pusta. Hojski po mszy świętej poszedł z komornikiem na probostwo.

Ks. Dagieli przyjął go chłodno.

— A co, ojcuzku — cicho szepnął Strukeczasycy. Doczekałem, ja chudy pacholek, że po tym żółto-brzuchu pojedę! Ha! Pan Bóg pokarał na dziecku, a ja mu i majątku szmat zabiorę. Tryumfowali przemocą — przyszła chwila na mnie.

Zatarł ręce z radości.

Ksiądz stał, jakby patrzył na chorego lub obłąkanego — litościwie.

— Mój Strukeczasycu — rzekł, nigdy się z cudze

go nieszczęścia cieszyć nie należy, choćby dotknięty nieprzyjacielem był. Asindziej go pogneźbionego dobijać chcesz?

— Jestem w mojem prawie! zawołał Strukezaszyc

— Ale nie w Chrystusowem! odezwał się ks. Dagiel.—Nie! Ja nad tem boleję; wiesz asindziej dlaczego?

— Hm?—spytał nieco zmieszany stary.

— Oto dla tego,—począł poważnie proboszcz,—bom widział to, nie raz, ale sto razy, na oczy moje, iż kto się z cudzego nieszczęścia cieszy, kto z niego korzysta, ten własnego jest blizkim.

Ten rodzaj proroctwa, wypowiedziany z jakimś przyciskiem, zmieszał Hojskiego.

— Co-bo acan dobrodziej, straszyc mnie chcesz!—zawołał.

— Bynajmniej — odezwał się ks. Dagiel, życzę waćpanu jaknajlepiej; ale się obawiam o niego. Masz waćpan jedynego syna, tak jak sędzia jedną ma córkę, a dobrze-by ci było, gdyby on poszedł nie po twej woli i serce ci zakrwawił?.. Prawo Boże powiada: nie czyn drugiemu co tobie niemiło. W tem „nie czyn“ mieści się zarazem—i—„nie życz“.

Tak, panie Strukezaszycu, to prawo Boże.

Hojski nie odpowiedział. Wspomnienie syna tknęło go mocno.

Zagadał o czem innem, chwycił za czapkę i, pokłoniwszy się proboszczowi, wyszedł, nachmurzony, z probostwa.

— Z tym księdzem pogadać nawet po ludzku nie można — rzekł do siebie. Nigdy komży i stuły nie zrzuca, i przy śniadaniu nawet kazania prawi.

---

Od powrotu z Warszawy Łopatycze stały się najsmutniejszym miejscem w świecie. Choć na pozór nic się w życiu nie zmieniło, bo nazewnątrż nie chciano okazywać boleści, która nękała wszystkich, dnie były nieustanną męczarnią. — Sędzianka biedna leżała chora, puszczonej jej krew; niedające się utamować łzy wycieńczały ją. Nie mówiła nic; modliła się i płakała.

Tylko gdy sędzia wszedł do jej pokoju i siadł przy łóżku, biedna męczennica usiłowała przybrać twarz wesołą, szukała w sobie wyrazów, któremiby ukochanego mężusia mogła pocieszyć, uśmiechała się — zapewniała go, że była zdrową, że miała i ma przeczenie, iż wszystko się to skończy jaknajlepiej.

— Zobaczysz kochasiu! mówiła głosem osłabłym. Bóg łaskaw! Czyżeśmy my tak wielcy grzesznicy, aby on nas tak strasznie karał, jedyny skarb nam odbierając?

Nie trap się, nie smuć, bądź dobrej myśli — módl

się—zobaczysz. Odzyszczemy Leonkę, odzyszczemy. Ot, tak się jej w główce trochę zakręciło, chciała nas nastraszyć! Ten Niemiec wszystkiemu winien.

Czemeryński słuchał, niesłyszając: i on był ciósem tym śmiertelnie przybity, trzymał się tylko z obowiązku, okazując męstwo, którego nie miał.

St. Aubin, po pierwszych mdłościach, z których ledwie się ją docucono, zachorowała ciężko.

Trwożyła się, i nie bez przyczyny, aby winy jej nie odkryto, i, chociaż nie wiedziała co się stało z Leonillą, domyślała się, że wtem wszystkim, ów sielankowy kochanek grać musiał jakąś rolę. Ze strachu, aby jakiego śladu stosunków nie odkryto, powróciwszy do Łopatycz, przetrząsnęła wszystkie papiery i gałganki, popaliła cokolwiek znalazła, a mimo to żyła w nieustannej trwodze.

Jak tylko się uczuła lepiej cokolwiek, pierwszą myślą jej było uciec z tego domu. Lecz w ciągu pobytu swojego, wyobrażając sobie, że sędzia był niezmiernie bogatym, pani St. Aubin mało co pobierała ze swej pensyi i lokowała ją ciągle u Czemeryńskiego. Należność ta, rosnąc przez długie lata, do znacznej bardzo summy się podniosła. Sędzia w dzisiejszym stanie majątkowym nie mógł zapłacić. Francuzka przewidywać to zaczęła coś zasłyszawszy o kłopotach pieniężnych, lecz goto-

wa już była zostać przy skrypcie, byle móżdż ujęć z tych Łopatycz.

Wstała nareszcie, więcej ze strachu niż z sił odzyskanych, zwlokła się do sędziny i zwierzyła się jej, że tęsknota po uczennicy czyniła jej pobyt w tym domu niemożliwym, zdrowie toż wymagało miasta. Zaklinała, aby ją puszczoneo, — nie czuła się już tu weale potrzebną.

Sędzina rozplakała się i zaprotestowała, ale przyobiecała powiedzieć mężowi. Czemeryński, którego na pamięci stały owe z górą tysiąc czerwonych złotych, należące się bonie, aż się wzdrygnął.

— Co-bo jej do głowy przyszło — zawołała — siedzi tu jak u pana Boga za piecem, a chce biedę gonić po świecie? Po co? na co? Oszalała. Jeszcze się jej tam coś należy, bo pensyi nie chciała brać; jak mnie teraz naciśnie, ja jej grosza dać nie mogę.

A wybij-że jej to, moja jejmościniu z głowy! Co-to jej tu źle?

Francuzce nie było łatwo wyperswadować, — strach ją pędził.

Poszła sama do sędziego, ze łzami domagając się uwolnienia, poprzysięgając, że umrze, jeśli jej nie puszcza. Napróžno całej wymowy swej francuzkiej używał sędzia, by ją uspokoić. W ostatku przebaknął, że i rachunek należności tak nagły, był niemożliwym. Stanęło na obliżu i choć kilkudziesięciu dukatach na drogę.



Wyrwała się St. Aubin, gotowa na wszelkie ofiary.

Chociaż przez wyjazd jej dom bardziej jeszcze miał opustoszeć, niepodobna było gwałtu jej zadawać. Czemeryński uspokoił ją, że pomyśli o tem.

Na nieszczęśliwego w istocie sędziego spadły teraz wszystkie razem ciężary, smutki i utrapienia. Trzeba było i tego, że w kilkanaście dni po powrocie do Łopatycz, odebrał od Podkomorzego ze wsi oznajmienie, iż p. lejtnant Vogt, korzystając z pozwolenia odwiedzenia na wsi Czemeryńskich, zjechał wraz z zięciem Buchowieckiego na wieś i miał służyć w Łopatyczach.

Widać było z tego, że zachowywana względem obcych tajemnica zniknięcia p. Leonilli, Podkomorzemu zdradzoną nie została. Czemeryński, list odebrawszy, za głowę się chwycił, chciał do żony biedz,—pożałował jej, wpadł do Francuzki. Sam nie wiedział co miał robić. Dyszał, sapał, oczyma obłąkanemi rzucał, wołając, że jest zgubionym.

Francuzka rzuciła się twarzą na łóżko. Nie rychło oprzytomnieli, i St. Aubin doradziła odpisać natychmiast, że panna leżała chora, mocno chora.

Ponieważ szło o odstąpienie kawalera, radziła skomponować ospę.

Choroby tej, zaraźliwej, często śmiertelnej, nie-

zmiernie się naówczas obawiano; zdawało się więc pewnem, że Vogt się tu nie pokaże.

Czemeryński odetchnął, podziwiając niezmierny rozum Francuzki, i przyznając się do tego, że on, mimo całej bystrości swej, nigdyby był nie wpadł na pomysł podobny.

Wystylizował list do Podkomorzego, najlepszego konia kazał dać ze stajni, najzwawszego chłopca wsadzić na konia i pędzić z odpowiedzią, aby wyprzedzić ową wizytę.

Stało się czego nie mógł przewidzieć.

Zakochany Vogt wziął sobie za punkt honoru, okazać, że kochał pannę tak mocno, iż dla niej nawet ospę gotów był brawować. Podkomorzy i zięć jego oświadczyli, że—nie pojedą. Lejtnant kazał zaprzęgać.

Zapowiedziano mu tylko, iż za powrotem w oficynie odbywać będzie kwarantannę.

W chwili, gdy się go jaknajmniej spodziewano w Łopatyczach, Sas przyjechał z kondolencją.—Czemeryński załamał ręce, zbladł, lecz musiał go przyjąć. Co gorzej, musiał opisywać mu chorobę, kłamać i kilka godzin wytrwać na mękach.

Przyjmowano gościa z występem wielkim, co najrychlej spędziwszy sługi, rozdawszy barwę, dobywszy srebra. Vogt siedział kilka godzin, a gdy go wreszcie na ganek wyprowadził, żegnając, Czemeryński tak z siłą opadł, że na ławce w ganku

siadłszy, wstać z niej bez pomocy nie mógł. Jedna bieda nie przychodzi nigdy sama. Dobiegały ciągle sędziogo wieści o gotującej się tradycyi i ponabywanych przez Strukezaszyca długach. Na odretwiałym nie czyniło to wielkiego wrażenia.

— Niech się dzieje co chce!—mruczał Czemeryński.

W tem usposobieniu jeszcze obojętnem niemal, gdy po wizycie Vogta wysapać się nie miał czasu, Śliwka przyszedł mu oznajmić, iż Pukszta mecenas przybył do niego, z pilnym interesem.

— Zmiłuj się, Śliwka—rzekł głosem słabym sędzia — zapytaj, czego chce. Jestem śmiertelnie zmęczony.

— Ja go pytałem—odezwał się Śliwka, ale mi odpowiedział, że nie może nikomu z tem się zwierzyć tylko jaśnie panu.

Czemeryński powlókł się do kancelaryi. Jak się to bardzo często trafia, że po apatyi następuje stan gorączkowego rozdrażnienia, stało się tak i z sędzią. Przybycie pana Pukszty wprawiło go w rodzaj tłumionego gniewu. Tego wszystkiego, co go spotkało, miał już zawiele.

— Sprzysięgły się losy i ludzie, aby mnie do wściekłości doprowadzić.

Pukszta, którego Czemeryński mało używał do interesów, znany nieprzyjaciel komornika, któremu darować nie mógł, że się prawniczą fuszerką zaba-

wiał i chleb mu odbierał, był mężczyzną lat średnich, elokwencyi i zdolności niepospolitych, zbiegłym niezmiernie, lecz nie wiodło mu się w niczem.

Walczył z losem uparcie, los się uwziął nie dać mu się dźwignąć. Im silniej się rzucał, jeździł, starał, tem mu gorzej szło.

Sędzia już zły, patrzył tylko na drzwi, aby wchodzącego wziąć na oko i—byle pozór zburzyć potężnie.

Przed progiem słyhać było niezmiernie długo, jak się zdawało Czemeryńskiemu, chrząkanie i staranne ocieranie nóg. Puksza, stojąc za drzwiami, poprawiał strój, gładził włosy, sposobił przemówienie.

Ukazał się wreszcie.

Był to słuszny mężczyzna, zdrów, poczynający szpakowacieć, z twarzą długą i oczyma żwawemi. Prezentował się bardzo przyzwoicie i z pewną elegancyą.

— Pana sędziego dobrodzieja, nóżki całuję.

— Kłaniam się — rzekł sucho Czemeryński, nie ruszając się z krzesła.

— Pan sędzia daruje, że mu może spoczynek potrzebny przerywam, lecz są sprawy niecierpiące zwłoki.

— Czy i waćpan masz do mnie lub ze mną sprawę jaką?

Kwaśne i z przekąsem odzywianie się sędziego, zamiast mieszać Puksztę, zdało mu się dodawać śmiałości.

— Ja nie dla żadnej sprawy przybywam — odezwał się prawnik — ale przez tę weneracyę, jaką mam dla domu jaśnie wielmożnych państwa, których chociaż łaską się poszczycić nie mogę, tandem w stałym trwam affekcie i konsyderacyi.

— *Ad rem! ad rem!* — przerwał Czemeryński.

— Przybywam z ostrzeżeniem — ciągnął spokojnie Pukszta. Pan sędzia affekt swój i zaufanie nie zawsze lokuje szczęśliwie. Ja się brzydzę zdradą. Używałeś jaśnie wielmożny pan tego partacza komornika do wielu drobnych interesów — nie jest to dla nikogo sekretem.

— Bo mi się tak podobało — odezwał się Czemeryński.

— A tymczasem ten zdrajca wszystkie tajemnice pańskie nosił i nosi do Sierhina. Tam je, tam śpi, tam mieszka, tam pańskie skrypta rejestruje, a szlachtę ściąga i namawia, aby obligi Strukezszycowi zbywała.

Świadków na to postawię, że Wolskich i Mościčkih i innych woził, oprymował, poił póki ich nie skłonił do sprzedaży skryptów.

Czemeryński słuchał, bledniejąc.

— Pewna to rzecz? — przebaknął.

— Na Ewangelii poprę przysięgą — odezwał się

Pukszta—jak zbawionym być pragnę. Nie idzie mi o pomstę nad tym robakiem mizernym, choć on mi zalazł za skórę—lecz o dobro pańskie.

— Bardzo dziękuję—odpowiedział sędzia, gniew tłumiąc w sobie. Wybuchnąć nie było z czem.

Pukszta stał, czekając jeszcze.

— Dałbyś mi to asindziej na piśmie? — zapytał Czemeryński.

Prawnik nieco się zamyślił.

— Czemuż nie—dam! odparł—a mogę wiedzieć jaki jaśnie pan z mojego świadectwa uczyni użytek?

— Żaden inny, tylko ten, że je sprezentuję temu łajdakowi—odezwał się Czemeryński. Siadał wacpan i pisz.

Pukszta położył czapkę, siadł za stół, a że do pióra był nawykły, *currente calamo*, napisał świadectwo i *manu propria* je podznaczył.

Sędzia podane sobie świadectwo odczytał i z przekąsem bąknął:

— Co się należy za tę sztukę?

Obraziło to Puksztę: wyprostował się i sięgnął po czapkę.

— Nie należy mi się nic, oprócz „Bóg zapłać.“— Nogi całuję.

Wejrzeniem dumnym zmierzył sędziego i poszedł ku drzwiom. Czemeryński tak był przybity, że go nie odwołał, ani się już odezwał. Świadc-

two położywszy na stoliku, siedział, wrąc w sobie i usiłując się uśmieszyć napróżno.

Upłynęło czasu dosyć, godzina może; a sędzia, przechodząc w myśli całe życie i losy swoje, co go spotykało, co przecierpiał, coraz mocniej się rozgorączkował. Zmierzchać się zaczynało, gdy służący otworzył drzwi.

— Pan komornik przyjechał—rzekł.

Czemeryński wstał, jakby go co rzuciło. Zawołał sługę i pociechu mu dał dyspozycję.

— Rozumiesz?—spytał.

— Rozumiem.

— Prosić pana komornika.

Oczekując nań siadł w krześle.

— A to dzień feralny!—rzekł do siebie.

Kaczor z miną pokorną wsunął się do kancelaryi.

— Nogi całuję, jaśnie wielmożnego sędziego.

— Hm! dawnośmy się nie widzieli. Cóż porabiasz?

— Zwyczajnie, biedę klepię—rzekł Kaczor.

— Cóż słychać w Sierhinie?

— Tak dalece nie wiem.

— Tu się nieco zakrztusił Kaczor i zakaszłał.

Sędzia powoli wstał z krzesła i papier leżący przed sobą schował za suknię. Nie uszło to baczności Kaczora.

Gospodarz poszedł ku oknu.

— Co tam na dworze? wieczór piękny?

— Niczego—potwierdził komornik.

— To możebyśmy się przeszli? zagaił Czemeryński, bo mam do pomówienia z acanem.

— Jak pan każe.

Wdziawszy czapkę, Czemeryński kij wziął z kąta i poszedł przodem. W dziedzińcu cicho było i pusto; gromadka ludzi tylko stała, jakby oczekując u lamusa, pod przewodnictwem Brackiego. Byli to dworacy, fornale i służba różna: jeden z nich ostentacyjnie na ramieniu trzymał kobierezyk. Bracki miał w ręku godło swych funkcyj—bizun.

Widok tych przygotowań tajemniczych dziwne uczynił wrażenie na komorniku. Nogi krzywe zgięły się pod nim mocniej jeszcze, odmawiając posługi.

Czemeryński kroczył wprost ku lamusowi; widząc, że Kaczor wlecze się powoli, odwrócił się ku niemu.

Komornik nieco przyśpieszył kroku. Robiło mu się mdło.

Wtem sędzia przywołał pisarza.

— Bracki! chodź-no pan tu. Odczytaj to pismo komornikowi. Potem weź pan—już wiesz co masz czynić.

— Tak jest, jaśnie panie!

— Dobranoc—kiwnąwszy głową, zakończył sędzia i z powagą zwrócił się z powrotem ku dworowi.



Przez chwilę słyhać było jakąś wrzawę około lamusa, potem śmiechy gawiedzi, lecz wkrótce wszystko ucichło. Za wyspą zaturkotał wózek.

Sędzia siadał do wieczerzy, gdy wszedł Bracki.

— A co tam?—zapytał.

— Wedle rozkazanania, jaśnie pana—rzekł pisarz.

— Napij się asan kieliszek wódki.

Tak dzień ten pamiętny zakończył się w Łopatyczach. Skutki jego nie ograniczyły się wszakże na dniu jednym. Czemeryński, wzburzony, poszedł do łóżka, niespokojnie spał, wstał gniewny. Ludzie w ganku mówili, że do jaśnie pana ani się zbliżać.

Późno już w nocy tego dnia, gdy Strukezaszyc pacierze, chodząc, odmawiał jeszcze, zaturkotało. Domyślił się zaraz, że Kaczor musiał z Łopatycz powrócić. — Czekał nań czekał, pół godziny, trzy kwadranse, a niewidząc przybywającego, chłopca zawołał:

— Komornik przyjechał?

— A jest, proszę pana.

— Cóż? gdzie u licha?

— Położył się zaraz, powiada, że go febra trzęsie!

— Co? febra? Hm.

Strukezaszyc dokończył pacierza i poszedł sam na folwark do komornika.

Świeca już była zgaszona.

— Śpisz?—zapytał Hojski.

Jękliwy głos odpowiedział:

— Chory, chory.

— No, to niech ci p. Blandyna miętę zgotuje. Hej! Nie było odpowiedzi.

Strukezaszyc, postawszy nieco, widząc, że nie nie dopyta, odszedł.

Nazajutrz rano komornik po kawie wstał, lecz widać było na nim skutki wczorajszego paroxyzmu. Zzółkł przez noc jak wosk, oczy miał krwią zabiegłe i ręce mu się trzęsły.

Zaczął go wypytywać Hojski o przyczynę nagłej słabości i dowiedział się, że wieczór był bardzo zimny i wilgotny.

Okolo południa Kaczor się miał lepiej, prosił jednak o folgę, gdyż, jak utrzymywał, siedzieć nie mógł dla zawrotów głowy. Przeleżał dzień cały. Prawie gwałtem go miętą pojono. Starania panny Blandyny i spoczynek wkrótce postawiły go na nogi.

O przygodzie swej okolo lamusa nie pisał ani słowa; z niesłychaną tylko gorliwością wziął się do sprawy łopatyckiej, tak że Strukezaszyc go teraz raczej hamować musiał niż podpędzać. Szło też przewybornie i nad podziw szczęśliwie. Spieszniemi krokami zbliżano się do tradycyi, a woźni po woźnych zajeżdżali z papierami do Łopatycz.

Czemeryński, czy nie miał nadziei obronienia się, czy coś innego knował, przyjmował to niemal obo-

jętnie. Straszno było tylko spojrzeć na niego. Ten, dawniej tak piękny, mężczyzna, wychudł straszliwie, zmienił się, zapadły mu policzki i oczy, po kilka dni chodził nieogolony, godzinami siadywał jak nieprzytomny, patrząc w ziemię.

Francuzka wybierała się, niemogąc ruszyć bez grosza, a ten jej obiecywano z dnia na dzień. Sędzina z łóżka nie wstawała, we dworze dawała się czuć nadchodząca ruina. Sługi ją czuły, rozprzęgało się wszystko. Czemeryński zdawał się nie widzieć.

Papiery prawne gromadziły się na biurku, prawie nietknięte. Czemeryński odbierał je, rzucił na kupe—i, jakby wiedzieć o nich nie chciał.

Tymczasem tradycya już była zapowiedziana; Czemeryński się nie bronił. Nawet w Sierhinie wydawało się to dziwnem.

Śliwka, do którego to bynajmniej nie należało, po długim wahaniu się, gdy już co chwila owej tradycyi spodziewać się było można, niespokojny, przeżegnawszy się, poszedł do kancelaryi Sędziego. Tu on teraz najczęściej całe dnie, w krzesle, z rękami skrzyżowanymi i głową spuszczoną, przepędzał jak zdrętwiały.

Zobaczywszy Śliwkę, oczy podniósł.

— A co znowu?—zamruczał.

— Jaśnie pan daruje, że ja się tak ośmielam — bąknął ekonom—czuję się w obowiązku.

Dziś, jutro nam dwie wioski, słyszę, Strukczaszyca ma tradować.

— Proszę? — tylko dwie?— odezwał się Czemeryński— a Łopatycz nie?

Ekonom, zbity z tropu, nie wiedział co odpowiedzieć.

Trwało milczenie minut kilka.

Sędzia się zdawał namyślać.

— Co jaśnie pan każe?— zamruczał Śliwka.

— A, nic— rzekł Czemeryński— nic. Tylko, ja, nim oni mnie zatradują, chciałbym im też dać byka za indyka. Dawno o tem myślę.

Ekonom słuchał ciekawie.

— Acan wiesz — mówił sędzia zwolna — że ten las na dyferencyi, to ukochane dziecko p. Strukczaszyca. Tam chłopom nawet po susz jeździć nie wolno. Śliczny las.

— A już to sosny, choć na maszty! — dorzucił Śliwka.— Co las to las! Pięćdziesiąt lat w nim może nie powstała siekiera!

— Otóż, uważaj, mój Śliwka — dodał powolnie Czemeryński. Ile ty ze wszystkich wiosek, nim je zatradują, możesz mi dać ludzi z siekierami?

— Z siekierami!— powtórzył Śliwka, niedobrze rozumiejąc.

— Tak, z siekierami—mówił sędzia.

Ekonom począł liczyć, pomagając sobie palcami.

— Kilkuset najmniej stanie—rzekł namyśliwszy się.

— A jakby wyszli do dnia i poczęli Strukezaszycowi ten las rąbać? Toć-by go do nocy, jeżeli nie położyli na ziemi, przynajmniej-by się przez niego świeciło? Małych drzewek niema co rąbać, same najlepsze tylko — dodał sędzia. Sierhińscy chłopci, gdyby i wystąpili, co oni nam zrobią?

Śliwka stał tak zdumiony, że prawie mówić nie mógł.

— Ależ to, proszę jaśnie wielmożnego pana, to proces okropny.

— Tak, proces okropny—potwierdził Czemeryński, ale ja już ich z tym człowiekiem mam kilka. Jednym mniej, jednym więcej, nie mi już nie dolegnie — a satysfakcyę-bym miał, bo-by się bestya wściekała ze złości.

— A nuż będą bronili?—spytał ekonom.

— A my to rąk nie mamy? — odparł Czemeryński.—Strzelców i leśników ze strzelbami postawić trzeba na przedzie. A nawinie się kto — palić!

— Ale, jaśnie panie.

— Ja odpowiem!—dorzucił sędzia—sprawa moja.

Po małym przestanku Czemeryński począł znów zwolna i jakby pieszcząc się tą myślą.

— Sprawi mi to satysfakcyę.—Naturalna rzecz, że ani acan, ani Bracki nie będziecie darmo komenderowali. Pienędzy teraz nie mam, więc i nie

obiecuję; ale para koni ze stada do wyboru dla waszei, kobyła ze źrebięciem dla pisarza. Dla gromad kufa wódki, choćby dwie.

Spojrzał na Śliwkę: ekonom stał z głową trochę spuszczoną, rachować się zdając. Zbytniej w nim ochoty do tej wyprawy nie obudziła nawet para koni ze stada.

— Co acan na to?—spytał sędzia.

— Ciężki orzech do zgryzienia—ośmielił się powiedzieć Śliwka.

— Ja—nie przymuszam—rzekł Czemeryński.— Uchowaj Boże. Nie zechcesz acan... z Panem Bogiem! Od św. Jana miejsce stracisz, a ja do komenderowania gromadami wezmę innego.

Śliwka się skłonił.

— Ale-bo ja nie mówię! nie odrzekam się—przerwał żywo. Tylko, że człowiek ma żonę i dzieciśka, a nuż—kto ich wie!

— Jak ci się podoba!—powtórzył sędzia. Ja, com sobie obmyślił—zrobię. Dla mnie będzie jedyna satysfakcyja, przy tych moich kłopotach. Czy ty, czy kto inny—a las wyciąć muszę, inaczej-bym źle wyszedł. Na śmiech się nie podam.

Skłonił się ekonom.

— Jak pan każe, niema co! słuhać trzeba — a kiedy to ma być?

— Kiedy? jutro ludzi ściagnąć, i to pocichu, pa-ry nawet z ust nie puścić. Niech się zbierają

do Łopatycz, niewiedząc na co i po co. Pojutrze do dnia na dyferencyę i—walić!

Im prędzej tem lepiej. We dworze powiedzieć że obława.

Czemeryński widząc, że już do skutku doprowadzi dzieło, wstał jakiś rzeźwiejszy; przybyło mu życia, twarz się uśmiechnęła.

— Niech potem traduje — dodał pół głosem — z tradycyi jak z czyśca można wyjść, a gdy mu las położym, już drugiego i syn nie doczeka. A co wart Sierhin bez lasu!

Rozśmiał się.

— Niech mi potem wioski tradują! — mruknął. Zbój ten zdechnie ze złości.

Pierwszy to był wieczór od powrotu z Warszawy, w którym sędzia zdawał się nieco weselszym. Poszedł do żony, a ta, zobaczywszy go nieco rzeźwiejszym, mniej zamyślnym, niezmiernie się uradowała. Odżyła i sama, ukochanego swego zobaczywszy w lepszym humorze.

— Moja duszeczko — rzekła — mnie się dziś nasza Leonilka śniła, taka wesola jakaś, szczęśliwa, rzuciła mi się na szyję, jak to ona od dziecka zwykła była, i powtarzała mi ciągle: — Nie bój się, mateczko, o mnie.

Wspomnienie córki zamiast pomnożyć wesołość sędziego, znowu go trochę zasepiło; ale się otrząsł

prędko. Żył cały zemstą. Pomścić się srodze na prześladowcy swym — było jedyną myślą jego.

Cały dzień nazajutrz pocichu się dowiadywał od Śliwki, który pokazywał się i znikał: jak tam idzie z gromadami? czy dużo będzie ludzi? czy strzelec są w pogotowiu?

Ekonom krzątał się niesłychanie, z gorączką ludzi jemu podobnych, powołanych do niezwykłych czynności, obiecujących zarobek. A że gromady trzeba było traktować i samemu do starszyny przepijać, nad wieczorem i on i Bracki, ledwie się na nogach trzymali.

Wyprawa była komenderowana jak świt, gromady więc z dalszych wiosek musiały wyruszyć po nocy. Punkt zborny był na Dziewulach, zkąd ludzie się mieli rozejść na skraj dyferencji od Sierhina i począć ciąć ulubiony las Strukezaszyca. Ekonom ledwie się na chwilę odziany położył, aby się, broń Boże, nie przypóźnić.

Kilka poprzedzających dni było mglistych; i nazajutrz się spodziewano takiego dnia, bo na noc mgła gęsta padła na pola i lasy.

Dziwny to był zaprawdę widok tej małej polanki i gościńca pod krzyżem, gdzie po północy już część gromad obozowała. Ludzie, małych kilka ognisk położywszy, w cichości brzasku oczekiwali, leżąc na ziemi i stojąc gromadkami. Śliwka nie wyjawiał im całkowicie, po co i na co wezwani



zostali, lecz domyślni włościanie, którym siekiery zabierać kazano, wiedząc, że ich ze wszystkich wsi pędzono, dorozumieli się łatwo, że idzie o wyrządzenie szkody Sierhinowi. A że między nimi a ludźmi Strukezaszyca, tak jak między panami, nienawiść trwała odwieczna, cieszyli się pomstą sędziego i własną.

Znajdowali, że pan ich raz przecie rozum miał, całą siłą chcąc na Sierhin uderzyć i rozumu go nauczyć.

Nadedniem zaczęły się ściągać dalsze gromady, i Śliwka konno z Brackim nadjechali, wiodąc kufę wódki, którą wielka powitała radość. Ranek był chłodny.

Starszyzna wnet obstała ekonoma, spodziewając się teraz od niego coś stanowczego dowiedzieć. Strzelec też z leśniczym na czele, w borsucznych torbach i lisich czapkach, osobną stanowili gromadkę, zebrawszy się codojednego.

Śliwka, siedząc na koniu, zebrał około siebie dziesiętników; podano czarę do wódki. Ekonom dla orzeźwienia się, przepił pierwszy, otarł wąsy i odezwał się do uciszonego tłumu:

— Dosyć nasz pan cierpiał od Sierhina; przysła godzina, żeby oddać za swoje. Niechaj dyferencya padnie! taka wola pańska. Co najpiękniejsze sosny—w pień!

Szmer ze śmiechami pomieszany rozszedł się po gromadach.

— Pijcie z kolei, póki stanie, a żywo — dodał Śliwka, potem na rubież, i na dane hasło, na całej linii w siekiery.

Zjedzą Sierhińce kaduka, żeby się nam obronić mogli; a zechcą napadać, od tego są strzelcy, którzy staną w assekuracji.

Strzelców więc z leśniczym poczęstowano najpierwej, komenderując, aby natychmiast na granicy stanowiska zajęli. Z ochotą nadzwyczajną, gorączkową, można powiedzieć, śpieszyło wszystko naprzód do półkwaterków, potem w las.

Śliwka jako główno-komenderujący, zalecał ciichość, porządek i subordynację. W każdej gromadzie mianował półkowodzców. Szło wszystko jak z płatka.

Dzień się zaczynał robić, gdy szeregi zbrojnych w siekiery zajęły miejsce na rubieży.

Jak gdyby słońce ciekawe też było się przypatrzyć temu osobliwemu widowisku, nadedniem mgła osiadać zaczęła, i zza oparów jesiennych blada tarcza ukazała się z sinawych zasłon nocy.

Czemeryński spał czy nie, lecz trudno, wiedzieć równo ze dniem się zerwał na nogi i, niemogąc wytrzymać, począł się ubierać, chodząc niespokojny od okna do okna.

Od Śliwki raportu nie miał i spodziewać się go

nawet nie mógł, a ciekawość go piekła. Byłby może sam wyruszył na teatr wojny, gdyby mu Aro-  
na przestroga nie przychodziła na pamięć, że  
Strukezaszycy gotów strzelać. Narażać się na jego  
kulę nie miał najmniejszej ochoty. Ranek wydał  
się sędziemu jak wiek długim; mszy świętej księ-  
dza ex-definitora doczekać się nie mógł, a chciał  
jej tego dnia, na intencję „pomsty nad grzesznyi-  
mi“ wysłuchać.

We dworze, z powodu, że i wielu dworskich po-  
tajemnie się na ochotnika wybrało z ekonomem,  
cichuteńko było. W kapliczce znalazła się kupka  
niewielka. Sędzia modlił się, klęcząc; był najmo-  
niej przekonany, iż Bóg powinien mu być dopo-  
módz do tak chwalebego dzieła.

Gdy słońce się nad horyzont podniosło i dzień  
zaświecił wesoły a pogodny, Czemeryński wziął to  
za dobry prognostyk.

Napiwszy się kawy, w pokoju wytrzymać już  
nie mógł. Korciło go, na podwórzu posłuchać  
czy choć daleki odgłos dzieła sprawiedliwości go  
nie dojdzie. Obrachował nawet, iż tak niewielka  
przestrzeń dzieliła go od lasu, taka cisza panowa-  
ła w okolicy, że pięćset siekier koniecznie tu sły-  
szane być musiały.

Właśnie ksiądz ex-definitor wyszedł był po śnia-  
daniu w dziedziniec i zobaczył sędziego czatujące-  
go i przysłuchującego się; ku niemu też pośpieszył.

Miał zagadać, gdy Czemeryński nastawiający ucha, dał mu znać, ażeby zmilczał.

Ksiądz nie mógł zrozumieć o co chodziło.

W tem wśród głuchego milczenia godziny porannej, zdala, z głębin lasu, dał się słyszeć łoskot stłumiony, dziwny, ogromny jakiś, straszliwy, który księdza ex-definitora przeraził.

Tysiące uderzeń jedne po drugich roznosiły echa. Pierwsze z nich były nieśmiałe i słabe; ale wkrótce podniosła się liczba, przyśpieszyły razy, las robrzmiął niezrozumiałym hukiem, jakby puszczę jakaś siła niewidzialna szturmowała.

Ksiądz przeżegnał się, zbladł, ręce złożył i spytał słabym głosem:

— Co to jest, panie sędzio? Co to jest?

Czemeryński tryumfująco się uśmiechał:

— A słuchaj-no, acan dobrodziej, — zawołał — czy może być na świecie przyjemniejsza muzyka nad tę! Ha! ha (pięść podniósł w stronę lasów). Niech mnie zna szerepetka! niech zna!

— Ale cóż to jest? na miłosierdzie Pańskie! co to jest, p. sędzio?

— Nie! zabaweczka niewinna! Śmiał się Czemeryński. On mnie traduje, a ja mu las wycinam! Kwita, byka za indyka!

Słyszysz, księżuniu, ośmset, może tysiąc siekier pada na pnie odwieczne! Zaczekaj chwilę, posłyszemy jak sosny runą!

Ale tu to nie! Od Sierhina bliżej, tam to będzie przyjemnie słuchać i patrzeć, niemogąc nie począć.

Posunie się kto, stoją moi strzelcy w odwodzie, ze strzelbami ponabijanemi i mają rozkaz—w łeb!

Dominikanin oczy zakrył ze strachu.

W dali huk ów głuchy coraz rosnał, wzrastał się, olbrzymiał. Niemożna już w nim było rozemnać cięcia siekier, ani padania drzew, ale szumiąco ciągle, nieustannie, coraz potężniej, a Czemeryński się uśmiechał.

— A co? księżuniu? he?—odezwał się—czyje na wierzchu?

Zje się kochany Strukezaszyc, pęknie ze złości. Dobrze mu tak! niech nie zaczepia mocniejszego! Pal go dyabli!

Strukezaszyc zwykł był wstawać rano. Tego dnia jakoś zadługo czuwał z Kaczorem nad rachunkami i zaspał.

Jeszcze był powiek nie otworzył, gdy posłyszał, co u niego było rzeczą niepraktykowaną, że drzwi się otworzyły i ktoś wpadł do sypialni.

Ponieważ nikomu to nie było dozwolonem, Hojski z gniewem podniósł głowę z poduszek i ujrzał przed sobą wyrostka, który mu buty czyścił i wodę przynosił, stojącego z takim wyrazem grozy i przestachu na twarzy, że Strukezaszyc, zamiast go zbureczyć, co miał już na języku, zawołał:

— A tobie się co stało?

Chłopiec stał drżący, z rękami załamanemi; nie mógł mówić.

— A będzież-że ty mi gadal? Co z tobą? sfixowałeś?

Szarzało już dobrze w oknach. Hojski się zerwał z łóżka, sam już przelektły, na myśl mu przyszło: czy się nie pali?

Schwycił za ramię chłopca:

— Co tobie!

Ten ledwie mógł mówić, a bąkał tak niewyraźnie, iż zrozumieć go było niepodobna.

— Las! las—gromady! las tną!

— Jaki las! co tobie! Przeżegnaj się.

Chłopiec ręką wskazał na okno sypialni, które właśnie na las wychodziło.

Hojski, jak stał w koszuli, rzucił się ku oknu, otworzył je a raczej wyłamał, głowę wystawił,—począł słuchać.

Coś niepojętego, niezrozumiałego działo się w niezbyt oddalonym lesie. Las kipiał, mruczał, huczał—siekiery były o drzewa. Nie dwie, nie dziesięć — ucho wprawne Strukezaszyca nie mogło ich policzyć.

Coś istotnie działo się w lesie. Osłupiał.

Stał jeszcze, gdy nagle nadbiegł Morawiec, bładny, w kożuszynie narzuconym na ramiona, w berlaczach zimowych, bo się jeszcze ubrać nie miał czasu.

— Jaśnie panie! Chomiuk, który był w naszym lesie, ledwie uciekł! Łopatyckie gromady ze wszystkich wiosek, z siekierami, mówią tysiąc ludzi, las nasz w pień tną!

— Tną las! krzyknął, bledniejąc, Hojski—mój las! Stał jak pół martwy. Nad łóżkiem wisiała strzelba: pochwycił ją machinalnie, choć był w koszuli.

— Konia! Kto żyw za fuzye! pierwszemu, co na cel wpadnie, kulą w łeb.

Krzyczał tak głośno, że wszyscy się w domu zbudzili. Kaczor pierwszy wpadł w płaszczu starym i boso.

— Jezusie miłosierny, co się dzieje! co się dzieje!

— Łopatyńce, rozbójniki—ledwie dysząc, krzyknął Strukczaszc, —las mój w pień tną!

Komornikowi oczy się zaiskrzyły jak u kota.

—A to napastnikom w łeb strzelać! Prawo pozwała. Statut i korektury nie bronią siły siłą odpierać. Jaśnie pan na swojej używalności jesteś w prawie. W łeb! walić! strzelać! Choćby się sam sędzia nawinał—pal! Za to nie będzie nic.

Rozognił się tak komornik, że mu na ustach piana stanęła.

— Koni! ludzi! wszystkie strzelby, jakie są we dworze, nabijaj! — wołał, biegając, Strukczaszc i naprędce wciągając odzież na siebie—konia!

Morawiec, dworskich na koni!

Ja jadę!—wszysey!

Już i panna Blandyna, opierając się o ściany, wylekła, podechodziła, gdy chłop bez czapki, zdyszany, zjawił się w progu.

— Las tną! ledwie uszedł!

Był to już drugi świadek naoczny:—Wszystkie gromady —ani się nam na nich porywać! A! gdzie! chmary! Wszyscy strzelcy i leśniczowie i dworscy z ponabijanemi fuzyami. Ledwie żyw uszedłem, mierzyły bestye za mną.

— A strzelać nie będą śmieli! — przerwał komornik — nie będą! Trzeba jechać i bronić się. Pierwszego sędziego, który tam pewnie jest, kula nie powinna minąć.

Strukeczasycy już się był odział, rękami dygotającemi pozapinawszy odzienie krzywo, trzymał drugą fuzyę zdjętą ze ściany i wykręcał z niej śróty aby do niej wpuścić duże loftki, coś jakby na grubego zwierza. Torbę leżącą na łożku rwał i przewracał, niemogąc nic znaleźć. Czapkę już miał na uszach, od czasu do czasu mruczając: Konia!

Komornik podzegał.

W stajni kulbaczono konie; na dziedzińcu zbiegali się ludzie, kobiety na pół odziane, z fartuchami na plecach, powychodziły patrzeć; dzieci beczali; parobcy się popychali: nieład panował niewysłowiony.

Prowadzono już stępaka Strukeczasycowi, gdy



p. Blandyna, cała we łzach, z energią niezwykłą, rzuciła się ku bratu i strzymała go.

— Na rany Pańskie! Co robisz! wstrzymaj-że się! Niepuszczę! Zabiją cię — ty zabić możesz! Nie nie poradzisz, tam przemoc i siła! Co lepszego będzie, gdy zginiesz! Ja cię nie puszcze; to-by było szaleństwo!

Bracie! bracie, opamiętaj się!

Strukczaszye stanął.

— Co to, z pozwoleniem, babskich lamentów słuchać — krzyknął zapalony Kaczor — tu panie wal, a bij, bij a wal. Sędzięgo w łeb! sędzięgo w łeb!

— Waćpan oszalałeś — zawołała, zwracając się ku niemu p. Blandyna—na zgubę posyłasz innych! Idź pan sam! idź-że sam! Słyszałeś, że tysiąc ludzi spędzono, że strzelec czatują z fuzyami. Im tego potrzeba, ażebyśmy się porwali bezsilni. Napadną na dwór! Gotowi zburzyć i spalić!

Nierozum jest rwać się bez siły!

Panna Blandyna osłabła prawie, trzymając brata i usiłując mu zaprzecć drogę. Komornik, za nią stojący, dawał mu znaki, ale napróżno. Głos siostry przemówił jakoś do przekonania, Hojski stanął zamysłony:

— Masz acanna słuszość! tak! na kułaki iść nie nasza sprawa. Komornik! słyszysz, na wózek do sądu, po urząd do obdukeyi!—i—*visum repertum*.

Kaczor, który drugich rad pędził, gdy mu przy-

szło pomyśleć, że ma jechać, a na drodze może być zaskoczony przez ludzi Łopatyckich i potraktowany jako wysłaniec nieprzyjacielski, znacznie ochłódl.

— Toć nie pilno! — mruknął.

Hojski ochłonał też, strzelbę postawił, popatrzał na ekonoma:

— Głupstwem-by było opierać się z garścią takiej sile. Niéma co — niéma co....

Rób acan co chcesz! Ja — ścierpię i to. Zobaczemy!

Mówiąc to Strukezaszyc, zaciskał usta strasznie; gniew mu tłumił głos — słabł z niego. Ręką wskazał, aby ludzie szli precz.

— Dać pokój! — skonkludował. Komornik pogardliwie ramionami ruszył; p. Blandyna przystąpiła do brata i w rękę go pocałowała.

— Bóg ci to nagrodzi! — szepnęła.

Wychyliwszy szklanke wody, jak pijany jeszcze, chwijając się na nogach, Hojski, o ściany się opierając rękami, wysunął się zwolna w sień i wyszedł na podwórze. Słońce było weszło jasne, ranek był prześliczny, mgły jak sennie kołysały się nad ziemią. W dali huczało; trzask drzew, łoskot siekier wyraźniej tu dochodziły niż do łopatyckiego dworu. Strukezaszyc stanął z rękami załamanemi; lży mu się znów toczyły.

— Mój las! mój las! — powtarzał. Bolesć wry-

ta na jego twarzy, zmieszana z gniewem, zmieniła ją prawie do niepoznania. Zdawało mu się, że ludzie wzrok w nim topią i przejęci żalem nad nim, sami ocierają powieki.

Strukczaszyce ten las pielęgnował, kochał jak dziecię swe; była to jego duma, rachuba przyszłości, rzecz dlań może droższa od Sierhina. W jego oczach podźwignęły się te sosny; znał z nich każdą.

— Mój las!—powtarzał pocichu.

Stojący za nim w płaszczu komornik—zły, że mu się cudzemi rękami własnej zemsty nie udało dokonać, spozierał nań prawie z pogardą.—Plunął wreszcie i ubierać się począł.

Zwolna ludzie z dziedzińca zaczęli się oddalać na pole, ażeby się bliżej widowisku temu przypatrzyć. Było ono dziwnem jak kataklizm jaki.—W oczach ubywało lasu; znikwały wysokie wierzchy, przerzedzała się ściana czarna; las padał, jakby niewidzialną ręką zdruzgotany i obalony na ziemię.

Hojski, który łzawemi oczyma patrzył w początku na to zniszczenie, zwolna odzyskiwał zwyczajną swą chłodną zaciętość. Łzy osychały, zęby się ścięły; namarszczył brwi, zdawał się twardnieć z wewnętrznego bólu. Myśl widać znalazła już jakieś środki wyjścia z tego zakąta, w który go przeemoc zagnała; budował coś i obrachowywał. Bładość coraz straszniejsza okrywała pofałdowaną

twarz. Nie miał tylko siły oderwać się od tego widoku—stał jak wkuty. Panna Blandyna, która była odeszła na chwilę, aby się ogarnąć, corychleję powróciła ku niemu.

Ona, co tu nigdy głosu ani władzy żadnej nie miała, po raz pierwszy zdawała się panować nad bratem, na którego zwykle patrzyła z trwogą. Ujęła go zlekka za rękę—drgnął.

— Chodź—rzekła łagodnie—ty po mężku umiałeś zawsze czoło stawić wszystkiemu, co cię spotykało. Co pomoże gryźć się i męczyć? Tegoż on chce—ten, co ci krzywdę wyrządził; najmiłsze mu to, że ryczysz z bólu.

Strukczaszyce popatrzał na nią długo: po raz wtóry wyrazy jej trafiły mu do przekonania. Z niepojętem posłuszeństwem dał się tej słabej ręce niewieściej zawrócić ku dworowi.

— Chodź, spocznij—co to pomoże rozpaczać!

Strukczaszyce milczący ruszył się i wolnym krokiem poszedł za siostrą ku domowi.

Nadciągnął właśnie z głową opuszczoną Morawiec, rękami machając rozpaczliwie.

Strukczaszyce stanął.

— Niéma co — rzekł wolnym głosem. — Przemoc — słabsi jesteśmy. Powiedz acan ludziom, niech się trzymają spokojnie.

Tną, to tną — dla mnie już oni go wycięli! Zagramy im z innej barwy!

Szkoda ludzi! Niech tną! Będziemy i my coś cięli.

Ostatnie wyrazy zamruczawszy niewyraźnie, wszedł do dworu. Tu rzucił się na krzesło przy stoliku, podparł na łokciu i tak pozostał w niemem osłupieniu. Panna Blandyna sama mu przyniosła kawę, której nie tknął.

— Nie mogę!—rzekł krótko.

Komornik, ubrawszy się, wpłynął do pokoju. Był widocznie gniewny.

Zdała aż tu dochodził huk walącego się drzewa.

— A to panie chwata pan sędzia—począł mruzcąc stając u stolika.

Strukezaszyc nie odpowiedział. Po chwili odezwał się:

— Kazaleś acan zaprzęgać?

— A po co?

— Po urząd?

— Cóż to las i pnie pouciekają? — rzekł Kaczor. Niema się co śpieszyć. A pan chce, żeby mnie złapali na drodze i jeszcze poczęstowali.—O! nie!

Hojski popatrzał nań pogardliwie i krzyknął na chłopea:

— Morawca wołaj!

Ekonom, który był w ganku, stanął zaraz w progu.

— Co jaśnie pan każe?

— Komornik się boi: jedź acan do urzędu; po wiedz co tu zaszło,—niech zjadą.

— Ja się nie boję — zabelkotał Kaczor — ale nie widzę potrzeby.

— A widziałeś potrzebę, żebyśmy szli się borykać z nimi? — mruknął Strukczaszye.

Kaczor ręką machnął, siadł i do wystygłej kawy począł się dobierać.

W lesie tymczasem zniszczenie się szerzyło. Wódką zachęceni do pośpiechu, chłopci rąbali śpiwając, śmiejąc się, wyprzedzając, bawiąc tą szkołą z nieostrożnością taką, że dwu ich padające drzewa silnie poraniły. Nie przeszkodziło to reszcie do samego wieczora, dopóki nie ściemniało, rąbać co napadli. Na dobitkę chciano jeszcze pożar zapuścić, ale się Śliwka sprzeciwił temu, rozważwszy, iż ogień mógłby się dostać i na łopatyckie zapusty.

Znaczniejsza część dyferencyi zniszczoną została; całej jednak rady dać nie mogli ludzie, i ku nocy pokładli się obozem na polankach. Śliwka pobiegł do dworu po rozkazy. Czemeryński przez cały niemal dzień przesiedział na dziedzińcu i w ganku, napawając się odgłosem swojego dzieła. Dziwiło go tylko, że ani jejmość, ani ks. ex-definitor, ani Francuzka tryumfu jego nie podzielali, i owszem, byli wszyscy jak przybici tem i zasmuceni.

Gdy Śliwka się ukazał, sędzia wybiegł naprzeciw niemu.

— Udało się?

— A jakże.

— Cały las runął?—zapytał Czemeryński.

— Więcej niż połowa—odparł Śliwka.

— Tylko!—westchnął sędzia.

— Bronili się?

— Chowaj Boże.

— Jakto? nie? wcale? Strukczaszyce strzymał?—  
podechwycił Czemeryński. Czyż to może być?

— Żywej duszy nie widzieliśmy—rzekł Śliwka.  
— Strzelecy stali darmo.

Dlaczego niemiłem to było Czemeryńskiemu—  
nie wiadomo; zamruczał, brwi zmarszczył.

— Cóż jaśnie pan każe na jutro? czy dalej ciąć?  
Gromady czekają.

Sędzia potarł ręką po twarzy, przeszedł się,  
stęknął.

— Będzie tego dosyć — odezwał się—ludzi nie  
trzeba męczyć. Dać im wódki i rozpuścić!

Nie okazał zbytniej radości sędzia; niewiedzieć  
dlaczego, zrobiło mu się markotno. Nie czuł, nie  
słyszał, nie nasycił się męką nieprzyjaciela. Zda-  
wało mu się, że jej nie osiągnął.

— Ale jakże to może być, ażeby Sierhińce choć  
nie zerwały się w pierwszym momencie. Nic? nic?

— Gdzież oni mieli się porywać! — rozśmiał się  
Śliwka. — Siła złego dziesięć na jednego. Mieli  
rozum.

Właśnie ten rozum i cierpliwość wprawiały Czemeryńskiego w niepokój jakiś. Znał nadto dobrze Strukezaszyca, ażeby mógł przypuścić, że mu to daruje i zemsty szukać nie będzie. Teraz dopiero, ochłonawszy, obrachowywał, że proces o wiolencyę i najazd mógł pretensyami za szkody pokryć resztę klucza Łopatyckiego.

— Cóż mi tam! — powiedział sobie w duchu, wzięli dyabli krowę; niech biorą i cielę! Będzie się mścił, ale com dojadł mu, to dojadłem.

Śliwka jeszcze stał u progu, czekając na należną pochwałę. Czemeryński stał zadumany.

— I — rzekł pomilczawszy — i niesłyszeliście nic, ze dwora—ani słowa, ani jęku? Nie wiedzieliście nic? nie dali znaku życia?

— A nie, rzekł ekonom, strusili, przycupnęli, albo to, proszę jaśnie pana, mała rzecz ośmset ludzi z toporami? Ta-to potencya, nie żart! Ta-to była, panie, armia... Cóż im się było porywać z motyką na słońce!

Poszedł spać sędzia, dużo mniej zadowolony niż był zrana; jakoż mu się to teraz inaczej zupełnie wydawało. W jego wyobraźni miała to być tragedia krwawa, mógł paść zapamiętały Strukezaszyca! a ten się nawet ani ukazał. Zemsta była nie pełna, nie osmaczona krwią— a teraz następowały po niej prozaiczne jej skutki: pozwy, zjazdy, opatry-



wania na gruncie, kommissye, targanie się przed sądami i—kondemnaty i koszta!

W tych myślach usnął sędzia, a nazajutrz, gdy niecierpliwa Francuzka znowu zaczęła nalegać, grożąc, że umrze, aby ją corychlej wypuszczono, ostatnie trzydzieści czerwonych złotych z własnego i jejmościnego kantorka ściągawszy, Czemyryński nareszcie przyrzekł konie i wyprawę do Lublina. Ztąd już Francuzka miała się dostać do Warszawy.

Nie miała jeszcze może stałego projektu, co poczynnie z sobą, tak trwoga ją pędziła z pod tej strzechy, względem której czuła się winną. Jak tylko dostała pieniędzy, natychmiast p. St. Aubin pakować się zaczęła, z gorączkowym pośpiechem. Żadną siłą, nawet na kilka godzin, powstrzymać jej nie było można. Nie miała litości nad sędzią, która ze łzami prosiła ją, aby się zatrzymała; nie dała się uprosić sędziemu i nazajutrz rano była już na gościńcu, oddychając swobodniej.

Odjazd jej miał też w Łopatyczach wielką zmianę wywołać, bo oprócz tego, że zabrakło w istocie jednej z osób, do której wszyscy byli przywykli, ludziom, co się jej obawiali, dopiero teraz rozwiązywać się zaczęły usta. Francuzka przez swą wychowanekę pozyskała była wpływ niemały; spełniano jej rozkazy; nikt przeciwko niej słówka nie śmiał pisać. Kobiety, szczególnież dawna rezy-

dentka, która teraz z garderoby się nie ruszała, niemając władzy w jednej nodze, pani Piotruska, dawniej faworyta obojga państwa, zaémiona przez Francuzkę, skrycie jej nienawidziła. Po odjeździe pani St. Aubin wszystko, co na nią wynaleźć było można, wysypało się ze wszech stron.

— Ci, co milczeli dotąd, poczęli się półgębkiem odzywać..

Ludzie, którym w Lublinie zakazano mówić o odwiedzinach pana Erazma, przebąkiwali coś o nim. Dwie kobiety ze wsi rozpowiadały dworskim, że u Dziwu, na kamieniu, widywały często Francuzkę z panną i przychodzącego, a przesiadującego tam, panicza z Sierhina.

Gdy o tem pociehu mówić zaczęto, w początkach Piotruska wierzyć nie chciała. Obudziła się jednak ciekawość, poczęto śledzić, przepytować, baby ze wsi potajemnie sprowadzać i coraz więcej znajdowało się dowodów, że owe codzienne przechadzki na Dziewule były schadzkami z młodym Hojskim.

Kobiety wiejskie, które chodziły po grzyby i jagody, niejeden raz, nieukazując się zza krzaków, szpiegowały młodą parę i powiadały jak się brała za ręce, jak czule spoglądała na siebie, jak się sobie uśmiechała.

Stara Piotruska, zebrawszy fakta, wysłuchawszy świadków, przedewszystkiem zaprosiła do siebie ks. ex-definitora. Dominikanin, przez wzgląd na ułomną

taruszkę, przychodził do niej i tak często grywać w marysaza na zdrowaśki. Piotruska, bez żadnego wykształcenia, prosta sobie kobieta, była przecież rozumną i przebiegłą. Opowiadała też wyśmienicie o dawnych czasach i o swoim wychowaniu na dworze Sapiehów.

Ksiądz Ambroży zaproszony przyszedł jak zwykle z dobrym humorem i tabaczką.

Piotruska czekała nań w krześle u stoliczka z kawą.

— Coś dobrodziej o starej dewotce zapomniał, odezwała się żartobliwie—a ja oczy wypatrzyłam, uszy wysłuchałam, czekając miłosierdzia.

— E! jejmościuniu, to nie za mną, ale za tuzem czerwiennym zatęskniłaś,—rozśmiał się mnich, siadając.

— Otóż bardzo przepraszam, bo za jegomością dobrodziejem. Pokiwała głową.

— Mam wielki, wielki interes!

— O! ba! do mnie!

— A no, słowo daję.

Westchnęła staruszka i minę nastroiła poważną. Odchrząknęła.

— Ja dobrodziejowi tajemnicę jedną powierzę—dodała. Noszę się z nią jak z gorącym żelazem w kieszeni, tak mnie piecze.

— A! bo to wy kobiecie!—rzekł Dominikanin. Wam zawsze trudno z językiem. Zbądź-że się

asindzka tej wielkiej tajemnicy. Ksiądz Ambroży żartował sobie, ważności żadnej nieprzypisując temu, z czem mu się zwierzyć miano.

Staruszka pomileczała momencik, pochyliła się, zniżyła głos i, palec przykładając do ust, szepnęła:

— A, gdybym ja wiedziała co się stało z naszą panną i kto ją wykradł?

Cofnął się aż ks. Ambroży.

— Co-bo asińdzka mówisz! nie żartuj!

— Niéma tu z czem żartować,—dokończyła Piotruska. — Dowodnie wiem z kim panienska nasza romans miała, do czego powodem była ta utrapiona Francuzica!

Ksiądz uszom zdawał się nie wierzyć.

— Ale gdzież? jak? Co jejmości w głowie?—ofuknął. Brednie, baśnie. W domu nikogo nie było, z kimby się spoufalić mogła. Myć tu przecie wszysej żyjemy, patrzym!

Ruszył ramionami.

— A widzieliżeście z kim się panna, pojechawszy do Lublina, poznałomiła, i z kim potem każdego dnia za Dziewulami na kamieniu schodziła się razem z Francuzką? He?

Ksiądz Ambroży, który kilka razy spotykał powracające z przechadzki od kamienia panie, rzucił się i zaczął słuchać uważniej.

— Któż to taki? kto?

Pomilezała chwilę Piotruska, potem schyliła się znowu; usta rękami otuliła i rzekła cicho:

— Młody Hojski z Sierhina.

Ksiądz Ambroży wstał aż, posłyszawszy to.

— Nie może być!

— Jak mnie, ojcze, żywą widzisz! Ludzie są, świadki.

— Dziwne sądy i wyroki Pańskie! szepnął zicha ks. Ambroży.

— Mamyż my to przed państwem taić?—dodała Piotruska. A toż się nie godzi. Niech wiedzą, może co poradzą, może się znajdzie zguba.

Ks. ex-definitor, namyśliwszy się długo, rękami strzepnął.

— Moja dobrodziejko---odezwał się—to materya taka, że ja do niej się mieszać, dotykać nie chcę, ani znać, ani wiedzieć. Ja człowiek spokojny, palca między drzwi kłaść nie myślę. Rób asindźka, jak jej do serca Pan Bóg podda. Ni radzę ni odradzam, — a zlituj się nademną, nie mieszajcie mnie do tego—nie! nie!

Napróżno potem staruszka chciała coś dobyć z ojca duchownego, i wyrozumieć jakby, jego zdaniem, postąpić sobie była powinna.—Dominikanin milczał uparcie.

Nie zyskała więc nic na zwierzeniu mu się. Sekretu zaś takiej wagi długo utrzymać było niepo-

dobieństwem: musiała albo sędzinie albo sędziemu opowiedzieć wszystko.

Biedna sędzinka ciągle jeszcze w łóżku leżała; do Czemeryńskiego odwagi nie miała staruszka. Wahala się jeszcze, gdy Śliwka, zawsze starający się czemś przysłużyć i względy pozyskać u pana, zasłyszawszy na wsi od bab o schadzkach u kamienia, obawiając się, aby go kto nie wyprzedził, pobiegl do jegomości.

Bez przygotowania, nieporządnie, śpiesząc się, płacząc, Śliwka, piąte przez dziesiąte, wypaplał wszystko Czemeryńskiemu, do stóp się ścieląc i zaklinając, że przez adorację dla osoby jego, przynosi tak ważną wiadomość.

Czemeryński z początku nie zrozumiał, potem nie uwierzył i pogniewał się, w furję niemal wpadłszy.

— Co ty mnie masz za dziecko, za człowieka obranego z rozumu! Oszalałeś!

— Niech-że jaśnie pan pofatyguje się do starej Piotruskiej; ona wie wszystko dokumentnie. Jak to się okaże bajką, ja się kładnę, proszę mi dać sto bizunów.

— Fixat! — krzyknął Czemeryński; ale w tejsze chwili, jak burza przebiegłszy cały dom, wpadł do Piotruskiej.

— Co to jest? co ten bałwan Śliwka śmie pleść, żeby Leonilla miała jaką potajemną znajomość z synem tego łotra, szubienicznika!

Przestraszona trochę staruszka, gdy przyszła do siebie, odpowiedziała:

— Niech się jegomość nie gniewa. — Co prawda to prawda!

— Zkąd-że ty to wiesz?

Piotruska wywód cały zrobiła. Gdy wspomniała o Lublinie i o tych, co tam byli, Czemeryński natychmiast posłał po służbę. Ledwie mógł z gniewu się utrzymać przytomnie. Zaledwie ludzie pokazali się w progu, wpadł na nich, bizunami grożąc, ażeby mówili prawdę.

Furman i lokaj zeznali, że panicz z Sierhina, którego przecie z kościoła znali dobrze, codzień bywał na kwaterze, sprawunki nosił i pannę przeprowadzał. Lokaj dodał, że ludzie ze wsi widzieli niemało razy pannę z Francuzką na kamieniu godzinami siedzącą z młodym Hojskim.

Niemożna było poznać jakie to zrobiło wrażenie na Czemeryńskim, który wysłuchawszy ludzi, zakazał im pod najsroższą karą, aby się o tem mówić nie ważyli, i odpędził.

Przysiadł na krześle w izdebce Piotruskiej, podparł się na rękę, zadumał, nieotwierając ust do niej, siedział z pół godziny, wstał i niezegnając się, wyszedł.

W swoim pokoju znowu siedział i chodził długo, stękał, mrucał; ale gdy wieczerzę podano i wyszedł do niej ksiądz ex-definitor, który o wszyst-

kiem wiedział, w twarzy jego szukał napróżno śladu do odgadnięcia: co się w nim działo?

Mówił o rzeczach obojętnych, poglądał ostro, ale zdawał się spokojnym.

Poradzić się i poskarżyć nie miał Czemeryński przed kim, oprócz księdza. Sędzinie chorej nie śmiał się zwierzyć. Po wieczery wziął księdza ex-definitora do kancelaryi. Domyslił się ksiądz Ambroży po co.

— Mój ojciec—odezwał się—jesteście mężem doświadczenia i dobrej rady: przyjdźcie mi w pomoc. Cieszyłem się ja zemstą nad wrogiem przedwczesnie a zuchwale; pomścił się wróg na mnie tak, że mi żywcem wyrwał wnętrzności!

Ojciec mój! mam dowody, że ten niecnota na cześć mojego domu sidła zastawił. Przekupili Francuzkę, co była przy Leonilli; Strukezaszyc synowi pomagał do wykradzenia jej. Córkę moją, dziecko najdroższe, jedyne, mają w rękach.

A! teraz rozumiem dlaczego mi lasu ciąć nie bronili. Co ich las przy krwi mojej, przy czci mojej, przy sieroctwie mojem?!

Leonilka żoną tego rozbójnika! tego przybłądy, łotra....

Czemeryński zakrył oczy i ryknął z bólu.

— Panie sędzio dobrodzieju! mityguj-że się, na rany Pańskie — zawołał Dominikanin. To nie są może rzeczy pewne, to domysły i gadaniny.



— Nie, to prawda, bo Bóg mnie ukarać chciał i wybrał to, co najstraszniejszym być mogło: upokorzył.

Nie widzisz-że ty w tem ręki tego przewrotnego starca? jego rachuby i roboty? Niepocziwa Francuzka była jego narzędziem. To rzecz ukartowana, obrachowana—eios w samo serce!

Straciłem wszystko!

— Pozwól pan sędzia sobie tylko tę refleksję uczynić—odezwał się ks. Ambroży—iż, jak to wiem najpewniej od ks. Dagiela, tego młodego Hojskiego nie było w Sierhinie oddawna, i niéma go.

— Ale to wszystko intrygi podłe! On się z nią gdzieś w sąsiedztwie może ukrywa.—Moje dziecko, moja córka, w rękach tych złoczyńców! — wołał Czemeryński. — Nie mi już nie pozostaje tylko umrzeć!

— Nie śmiej aniząd z pociechą żadną, ani już z uwagą występować,—odezwał się ks. Dominikanin. Trzeba ochłonąć i pilno rozważyć co czynić.

— Co czynić?—podechwycił gwałtownie sędzia—ale mi nie pozostaje nic tylko kamień do szyi i w wodę.

Narzekania, przekleństwa, łzy, rozpaczę zajęły kilka godzin. Kapelan, widząc ten stan sędziego, odstępować go nie chciał. Udało mu się wreszcie religijnymi uwagami i powagą kapłańską ukoić

niecio Czemeryńskiego. Dobrze z północy było, gdy się rozeszli.

Mszy nazajutrz nie mógł już mieć kapelan, a sędzia też z sypialni nie wychodził nawet do żony, posławszy do niej zawiadomienie, że bardzo był zajęty. Pierwsze wrażenie wczorajsze stępił dzień drugi; przyszła rozważa: jak wyjść z tego położenia, co począć ze Strukezaszycem—gdzie szukać córki?

Sędzia był najmocniejszego przekonania, że wszystko to stary sąsiad naprzód ułożył, osnuł i że w tem była ręka jego.

Nie było innego ratunku dla córki, dla czci domu, jak zezwolić na nienawistny związek. Lecz jakże go pogodzić z podaniem ręki Strukezaszycowi, ku któremu Czemeryński czuł nieprzezwyčajony wstręt i ohydę?

— Z nim za nie!

W tym stanie ducha drugiego dnia zastał Czemeryńskiego przybywający w interesie probostwa niby, w istocie zaś, wezwany potajemnie przez ks. ex-definitora, proboszcz ks. Dagiela.

Dominikanin doskonałym był przy konfesyonalu, miłym w towarzystwie, ale kwestye praktyczne życia były mu obce. Nie umiał, ani się kusił ich rozwiązywać. Dla uwolnienia się od nowej napaści sędziogo sprowadził ks. Dagiela. Tego mogli się lękać wszyscy; on się nie lękał nikogo i niczego.

Sędzia, mimo, że proboszcz przemówił zaraz o interesie, odgadł, iż go sprowadzono.

— Widzisz przed sobą, księżę proboszczu—odezwał się ze zwykłą patetycznością swą — najniešťeśliwszego w świecie człowieka; zbiedzonego, upokorzonego, przywiedzionego do rozpacz.

Mało to, że mi wyrwano córkę jedyną,—wiesz w czyje dostała się ręce?

— Wiem—odparł spokojnie proboszcz.

Czemeryński się cofnął.

— Zkądże to jegomość wiesz? czy już wyszło z mojego domu?

— Wcale nie — rzekł ks. Dagiel — wiedziałem o tem wprzódy niż wy, panie sędzio.

— Wprzódy niż my?—a to jakim sposobem?

Ks. Dagiel się obejrzał.

— Chodźmy się rozmówić na osobności—odparł—dowiesz się pan o wszystkim.

Z pokorą prawie, poszedł, dawniej dumny, Czemeryński za księdzem, który w swej sukni wytartej miał powagę, nakazującą poszanowanie.

Gdy weszli do pokoju, do którego i ks. ex-definitora, jakby za świadka i pomocnika, wprowadził za sobą proboszcz, Czemeryński nie odzywając się już, czekał co mu ks. Dagiel objawi.

— Mieszymy często Pana Boga — odezwał się proboszcz, tam gdzie On niepotrzebuje się przyczyniać do dokonania sprawiedliwości; ale też czę-

sto jest palec Boży w małych rzeczach i wyraźna ręka Opatrzności. Ja widzę ją w sprawie waszej, panie sędzio, z p. Strukczaszycem. Dawaliście obaj zgorzenie swoją zjadłością względem siebie.

— Ks. proboszczu! — przerwał Czemeryński — jam nie winien! Przecież dać się tak zgubić, nie broniąc, i robak nie może. Ten człowiek dojadł mi, życie zatruł! ja mu nie mogłem i nie mogę przebaczyć.

— I Pan Bóg też waćpanu nie przebaczył — rzekł surowo proboszcz. Doświadczyliście mściwej ręki Jego, gdy wam najmilsze dziecko odebrał.

— Za cóż mnie! za co mnie! — począł sędzia, — albow to ja jeden winien! Jest-li wina jaka to w obojgu: a to ma być sprawiedliwość, gdy na mnie jednego spadła chłosta!

— Nie na waćpana jednego! — zawołał ks. Dagiel. Bóg jeden tylko wie, który z was ukarany srożej. Wiesz pan com słyszał z własnych ust siostry Strukczaszyca, gdy raz powziął podejrzenie, że syn jego mógł się w córce waszej rozmiłować, — wiesz co naówczas powiedział: — Wolałbym go na marach widzieć niż mężem sędzianki.

Czemeryński podniósł głowę, i dumnie, i gniewnie, i zdziwiony.

— Proszę! — krzyknął szydersko — taki mi wielki człek! Frant jakiś! A któż sprawcą tego wszystkiego! Nie z jego-ż to się naprawy stało!

— Z jego naprawy! — rzekł ks. Dagiel, ramionami ruszając. Co się waćpanu dzieje, panie sędzio? On o tem nie wie, nie domyśla się tego, nie przeczuwa, a gdyby się dowiedział, nie ręczę, czyby się syna wyrzec nie był gotów.

Sędzia prychnął po swojemu i czuba potarł.

— Jesteście tego pewni? — spytał niedowierzająco.

— Jestem tego najpewniejszy — odparł ks. Dagiel. — Miał jakieś podejrzenie na syna, i sama ta myśl skłoniła go do wysłania go gdzieś na wygnanie, aż w Witebskie.

— Seryo? — spytał Czemeryński, oddychając jakos wolniej. — Jegomość dobrodziej nie żartujesz?

Ks. Dagiel potrząsł swoją starą rewerendą.

— Kto taką suknię nosi, temu się żartować nie godzi — zawołał surowo — i nie godzi mu się rzucać słowy lekkimi!

— Ależ-to, co ja słyszę od waćpana dobrodzieja — poprawił się, głos zniżając sędzia, zmienia zupełnie postać rzeczy. Więc Strukezaszyc tryumfuje!

— Z czego?

— Z tego, że mi córkę porwali!

— On o tem nie wie! — zawołał ks. Dagiel.

Czemeryński zadumał się. Stali dotąd w pośrodku pokoju, a staremu nogi drżały: poprosił siedzieć. Zadumany był, lecz gniew zwolna z twarzy

mu schodził—łagodniał. Ks. Dagiel badał go, spoglądając nań uważnie.

— Słucham, wierzę słowom waćpana dobrodzieja, a razem wszystko to mi się w głowie nie mieści—odezwał się Czemeryński.—Miej waćpan litość nad sercem rodzicielskiem, powiedz mi co wiesz, uspokój mnie. Nie pozostaje mi nic, tylko przebaczyć synowi tego rozbójnika, co tak zbójcecko mi porwał córkę, i co najprędzej ślubem ich połączyć!

— Oni ślub wzięli, tego samego dnia, gdy panna uciekła—odparł ks. Dagiel.

— Zerwał się z siedzenia Czemeryński i padł zaraz na nie.

— Gdzie? jak?

— Ja im dałem ślub —ja!—rzekł ks. Dagiel.

Sędzia się przeżegnał.

— Wy? wy?

— Musiałem dać ślub, aby nie dopuścić związku bez błogosławieństwa kościoła.

Ale, słuchaj waćpan, —dodał ks. Dagiel—wszystkiego się dowiesz. Znasz mnie od lat wielu, że do żadnych intryg nie mieszam się. Nie wiedziałem też o niczem w świecie, gdy przyjechała do mnie wieczorem panna Blandyna Strukezaszanka, ledwie żywa, i wszedłszy do nóg mi upadła.

Ledwiem mógł, uspokoiwszy ją, dowiedzieć się, że—tej nocy pan Erazm Hojski, za zgodą i umową z córką waszą, miał ją uprowadzić z noclegu, i

wprost przywieść do mnie, błagając o ślub. Panna Blandyna, struchlała ze strachu, zalewała się łzami.

Dania ślubu odmówiłem, reflektując, iż nieważny-by był, i że się nie godziło dzieciom bez wiadomości i woli rodziców, bez ich błogosławieństwa, stawać u ołtarza.

Zważywszy jednak, że porwaniu córki waszej, a raczej dobrowolnej jej ucieczce, zapobiedz nie mogłem; że bez ślubu pobyt ich dłuższy z sobą, ściągął na ich oboje sromotę — dałem się nakłonić.

Czemeryński, za głowę się schwycawszy, słuchał, ze łzami w oczach.

— Trzeba było pobłogosławić — dodał ks. Dągiel, — gdy tak czy nie, byliby z sobą dalej uciekali! Musiałem! — westchnął proboszcz.

Około północy wprost powóz z niemi zatoczył się przed kościołek. Świadcami byli zakrystyan i organista, no, i panna Blandyna, która ich nie odstępowała. Byłbym się może oparł — dokończył proboszcz, gdyby nie ta myśl, że Bóg tym sposobem chce położyć koniec nienawiści i zwadzie dwóch rodzin i przejednać je ślubem dzieci.

— Nigdy w świecie! — wybuchnął, rzucając się Czemeryński. Córka, córka mogła sobie wyjść choć za parobka, ale ojca jego znać ani wiedzieć nie chce! A my, jakośmy byli, tak zostaniemy — na noże!

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem wprzód—  
rzekł ks. Dagiel, bo byłbym ślubu nie dawał.

— Ślubu! ślubu!—bąkał Czemeryński—najpierw  
po takim ślubie rozwód jest bardzo łatwy; powtó-  
re, choćbym zięcia akceptował, to jego ojca — ni-  
gdy! nigdy!

Po chwili sędzia zawołał, jakby się budząc:

— A gdzież oni są? gdzie się schowali przed  
nami!

— Daję panu słowo, że o to ani pytałem, ani  
wiem o tem. Jeśli wie kto — chyba p. Blandyna.

— Oni być muszą w okolicy? — rzekł jakby do  
siebie Czemeryński,—ja ich wyszukam.

Myśli miał roztargnione i dodał nagle:

— A Leonilka, mój ojczek? czy płakała? jakże ją  
znalazłeś?

— Zupełnie spokojną i prawie wesołą — rzekł  
proboszcz.—Była tylko trochę zarumieniona i zmę-  
czona. Pan Erazm miał daleko bardziej strwożoną  
minę.

Namarszczył się sędzia.

— Zatem Strukezaszyc—wolałby go widzieć na  
marach!—odezwał się.

Otóż acan dobrodziej masz z tego miarę człowie-  
ka: o własnem dziecku, o jedynaku, tak się wyraził.  
Cóż to za serce? co za tyran!

— Mógł to powiedzieć w chwili zapomnienia  
się—rzekł proboszcz.



— Więc mu dla syna Czemeryńskiej zamało!—  
mówił sędzia szydersko — cóż? Księżniczki-by  
chciał?

— Gorzej, panie sędzio — wtrącił ks. Dagiel—  
panna Blandyna mi powtarzała, że wolałby prostą  
chłopkę niż waszą córkę, taką grzeszną ma ku wam  
nienawiść.

— Ja mu ją płacę z nawiązką! — rozśmiał się  
gorzko Czemeryński.—Wierz mi, ojcze—szatanem  
się tak nie brzydzą jak nim. Podły i niekzemny  
jest.

Jednemu się dziwię—dodał—że to nieszczęście,  
którego ja padłem ofiarą, nie on zgotował, że o niem  
nie wiedział,—a z tego się znowu cieszę, że mu ono  
będzie ciosem ciężkim! że posieje między nim a sy-  
nem niezgodę,—że może ich rozłączyć! To dobrze!  
to dobrze!

Wstał proboszcz z krzesła.

— Panie sędzio—zawołał z powagą — mową tą  
bezbożną nie wywołuj sroższej jeszcze kary Bożej  
na siebie! Dotknął cię Bóg! poprawy chciał: nie  
pomogło — patrz, by chłosta nie przysła stokroć  
cięższa! Ej! ej!

Zamilkł Czemeryński, lecz widać było, że to  
uczynił tylko przez respekt dla proboszcza. Nie  
zmiękł wcale.

Ksiądz ex-definitor, chcąc złagodzić nieco rozmo-  
wę, wtrącił:

— Pan sędzia kocha swe jedyne dziecię i pewien jestem, dla jego szczęścia i spokoju, wiele poświęci. Wszystko się, da Bóg, ułoży szczęśliwie.

Spojrzał Czemeryński.

— O szczęściu! o szczęściu już mowy niema dla mnie — wykrzyknął — splamiony jestem tem, zem zmuszony dotknąć się tego plugawego rodu. Ratować się muszę od hańby—i dziecko odzyskać—to pierwsze.

— Bąkałeś pan o rozwodzie — przerwał proboszcz — sądzę, że należałoby myśl tę porzucić. Córka pańska przywiązaną się zdaje do męża, i widać w niej charakter. Sama mi powiedziała przy ex aminie, że ona pierwsza chciała być uwiezioną i skłoniła do tego Hojskiego.

Czemeryński poskoczył.

— Mówiła to?—zawołał.

— Mówiła to bardzo wyraźnie, bardzo stanowczo. Hojski-by się był nie ważył na taki krok bez jej przyzwolenia.

— Al to ta podła Francuzica ze swemi romansami—zakrzyczał Czemeryński—głowę jej zawróciła. Gdyby nie ona, nigdyby nie przyszło do tego. Szczęście, że uciekła, czując, że się to wyda. Dałbym jej naukę!

Wśród gniewu na łzy mu się zbierało. Wzruszenie, niepokój, niepewność jak miał postąpić, osłabiły sędziego; zwiesił głowę na ręce.

— Obróć to acan dobrodziej na korzyść duszy swojej — dodał ks. Dagiel — wstąp w siebie, uderz się w piersi!

Na to długo nie było odpowiedzi. Czemeryński czem innym wydawał się być zajęтым. Księża obaj milczeli, szanując jego smutek; Czemeryński zerwał się żywo.

— Gdybym wiedział — zawołał — że Strukezaszyca tem dojadę — natychmiast-bym ich oboje do domu wziął — przebaczył i pobłogosławił.

Ksiądz proboszcz, który sądził, że go już nawrócił, spojrział na ks. ex-definitora: stary grzesznik wracał.

— Jak waćpan dobrodziej sądzisz, gdzie oni mogą być?

— Nic a nie o tem nie wiem — odparł ks. Dagiel — mówiłem już o tem panu, że jedna Strukezaszanka mogłaby wiedzieć coś.

— Strukezaszanka! — skrzywił się Czemeryński i ręką strzepnął.

— Dosyć, że jego siostrą jest, bym z nią wszelkiego unikał stosunku — rzekł sędzią. — Mojem zdaniem, oni daleko być nie mogą. Sponuję, bom coś słyszał, iż Erazm się kręcił koło palestry w Lublinie, że tam się pewnie ukryć pojechali. — Ja ich znajdę.

Niezważając na obu duchownych, cały zajęty my-

ślą o córce i zemście, przechadzał się Czemeryński po pokoju, mrużąc. Stawał, biegał, ręce zacierał.

— To ja—zawołał nagle—ja się tu już tyle czasu męczę i piekę, jak święty Wawrzyniec na ruszcie, a Strukczaszyce o Bożym świecie nie wie i swobodnie oddycha!

Więc on nie wie! nie wie!

Mówiąc to, zbliżył się do ks. Dagiela.

— Zdaje mi się, że nie wie; ostatniej niedzieli zapewniła mnie o tem panna Blandyna.

— A to się ma nazywać sprawiedliwością!—krzyknął Czemeryński.—To nie może tak być!

Ruszył ramionami ks. Dagiel.

— Cóż to waćpanu pomoże, gdy się on dowie? Chyba, żeby rozerwał małżeństwo i córkę jego nieszczęśliwą uczynił.

— O! rozerwał! on! tego ja mu uczynić nie dam—zawołał sędzia. Jeżeli on będzie zrywał, ja będę wiązał; a zechce on wiązać, — no, to będę zrywał.

— A córka? a dziecko twoje! — zakrzyknął oburzony proboszcz. Gdzież to ja jestem! na miłego Boga, między pogany czy w domu, pod prawem Chrystusowem!

Nie sromasz-że się pan i czuć tak i mówić, i chcesz, aby Bóg błogosławił domowi, który zemstą tehnie!

Sędzia zwiesił głowę.

— Mówisz pan o przywiązaniu do jedynego dzie-

cięcia! waćpan stokroć do zemsty swej jesteś więcej przywiązanym niż do niego.

Zarzut ten dobił Czemeryńskiego. Ks. Dagiel pożałował go i złagodniał. Zbliżył się doń, rozpościerając ręce.

— Daruj mi! za gwałtownie mówiłem, ale miłość Chrystusowa i przywiązanie do was dyktowały słowa. Precz z serca ta zemsta paskudna, — niech do niego wróci uczucie ojca dla dziecięcia!

— Cóż-bo chcesz, mój ojeze, — przebąknął Czemeryński — Bóg z niemi, ja zięciowi przebaczę — dalej nie żądajcie — nie mogę! nie!

Uderzył się oburącz w piersi i jęknął: Nie — nie mogę.

Zaczęli go obaj duchowni łagodzić i uspakajać. Czemeryński usiadł i zapłakał.

— Co mam zrobić z żoną? — zapytał — ona o niczem nie wie; ja już siły nie mam oznajmić jej o tem.

Ks. Dagiel wstał.

— Ja pójdę.

Zgodził się na to sędzia, a sam pozostał z sobą, starając się do ładu doprowadzić myśli i określić co mu czynić wypadało.

Napróżno byłoby żądać od serca ludzkiego tego, co ono dać nie może; długo przejęte uczuciem jednem, nie pozbywa się go łatwo. Te nagle zwroty, które widzimy na scenie, z nienawiści do miło-

ści, ze wstrętu do sympaty — w naturze są tak wyjątkowemi, iż prawie do cudownych należą.

Czemeryński też nie mógł przełamać się i nieprzyjacielowi przebaczyć. Pobudki chrześcijańskie rozumem przyjmował: serce nie mogło iść za niemi. Gdy księża wyszli, począł tylko przemyślać nad tem: jakby najlepiej mógł dokuczyć Strukezaszycowi?

Niedowierzał jeszcze temu, aby ożenienie mogło dlań być tak dotkliwym ciosem. Miłość własna oburzała się przeciwko temu.

Pomimo wstrętu do całego domu Hojskich, wpadał na myśl potajemnego widzenia się i wybadania p. Blandyny.

Plątały mu się zresztą myśli, ale wśród nich postać Leonilli, tego ukochanego straconego dziecięcia, przesuwała się jakby wołając o należne sobie miejsce; żal mu się robiło jej, tęskno mu było bez niej.

Ta miłość dla córki zacierała chwilami plany zemsty.

Mysząc, wążąc, kłóćąc się sam z sobą — nie postrzegł jak dosyć czasu upłynęło, i ks. Dągiel poruszony mocno wszedł oznajmując mu, że z żoną widzieć się może.

Sędzina siedziała na łóżku, zarumieniona, splekana, ale jakaś szczęśliwa, ręce wyciągnęła do męża.

— Kochanie moje, rybko moja złota! — zawołała. — Już wszystko dobrze! nie gniewaj się! Dziecko nasze Bóg uratował, odzyskamy je wróci do nas.

Czemeryński psuć jej tej radości nie chciał, zamleżał. Co myślał dalej czynić — nie powiedział, rad był tylko, że biedna kobiecina doznała pociechy.

W Sierhinie tymczasem przyspieszano tradycją i zawiązywano proces kryminalny o wycięcie lasu. Strukezaszyc tak był tem przejęty i rozgorączkowany, iż o wszystkim innem zapominać się zdawał. Erazm-by mu był może tak rychło na myśl nie przyszedł, gdyby nie nawał rozmaitych skryptur, do których mógł być pomocnym.

Kaczor do wycieczek i intryżek był przydatny, w pisaniu i prawie mocnym nie był. Cytował statuta, konstytucye, korektury, excepta, najopaczniej a z bezczelnością niezmierną. Strukezaszyc posługując się nim, zmęczył się i, jak mówił — zdzygustował.

— Partacz-bo jest! — mówił sobie pocichu — nie ulega wątpliwości.

Siedzieli raz przy wieczerzy, on, panna Blandyna i Kaczor, który się rad na cudzym chlebie przeżywał, gdy Hojski, jakby go co tknęło, zawołał do siostry:

— A czego on tam dłużej ma siedzieć? — nieprawda?

— Kto? — spytała siostra.

— Juścić? kto! Erazm! Wyprawiłem go, aby mu z głowy rękawiczka wywietrzała, a no dosyć już. Kasztelanowa też już sarkać musi, że jej chleb je darmo, a panny Czemeryńskiej, której-em się bał, chwała Bogu niema. Więc—niechby powrócił.

Panna Blandyna popatrzała na brata.

— A czegóż się znowu tak śpieszyć — rzekła. — Chłopiec się przynajmniej rozerwie w mieście; tu z nami niewielka rozrywka.

— E! asińdzka-bo wystawiasz sobie, że Erazm by się tylko bawił a bawił—rzekł Hojski. Ja zaś muszę jej i to dodać, że u kochanej Kasztelanowej, także mu nie musi być wesoło. Same baby i starzy faworyci.

— No—ale miasto.

— Nie zna nikogo—rzekł Strukezaszyc.

— Przecież się ludzie poznawają.

Hojski ramionami zachnął.

— Ktoby powiedział — dodał — że asińdzka go nie kochasz i widzieć nie chcesz—a to tylko ta babska natura: strzyżono, golono—golono, strzyżono, aby na przekorę.

Zamilkła panna Blandyna, na talerz spuściwszy oczy.

Kaczor, który wyrąbania lasu, bez oporu, jeszcze nie mógł strawić, westchnął.

— Gdyby tu p. Erazm był — rzekł — onby pe-



wnie nie strzymał, kiedy las rąbano. Czemeryńskiemu-by w łeb wypalił.

— Co waćpan pleciesz?—niecierpliwie przerwała p. Blandyna, jego tam nie było.

— To co! to co! a byłby strzelił— zamruczał, niemogąc lamusa zapomnieć Kaczor, który na wspomnienie sędziego w passyę wpadał.

Strukezaszyc się smutnie rozśmiał.

Właśnie dnia dopiero poprzedzającego przez Morawca się dowiedział o trzymanej w sekrecie przygodzie Kaczora.

— Acan do niego masz coś na wątrobie? — odezwał się szydersko.—Przyznaj się.

— Ja?—prysnął zaczerwieniony komornik. Spojrzał w oczy pryncypałowi, poznał z nich, że tajemnica zdradzona i, oczyma wskazując pannę Blandynę, prosić się zdawał o dyskrecyę.

Nie zdradził go też Strukezaszyc i zamilezał. Rozmowa się zwróciła znowu na Erazma.

— Napiszę dziś do niego i do Kasztelanowej, aby jej podziękować. Niechaj powraca—zda mi się.

Panna Blandyna przebierała coś na talerzu, nie podniosła już oczów, wiedząc, że bratu najgorzej się było sprzeciwiać.

Jakoż choć nie tego dnia, bo nie było czasu, a przy świecy Hojski nie pisywał nigdy, ale naza-jutrz rano, siadł do pisania listów.

Syna w krótkich wyrazach wezwał do powrotu;

do Kasztelanowej z respektem, na pół żartobliwe ułożył pismo, dziękując jej za gościnność. Listy na pocztę wyprawiono.

Owczesne poczty, pozał się Boże, nie chodziły zbyt śpiesznie, dlatego też, kto chciał prędkiej odpowiedzi być pewnym, nigdy im nie powierzał nie—wyprawiał umyślnego. Wielcy panowie słali sztafety i kuryerów.

Strukezaszyc obrachował: ile dni poczta powinna była iść do Wilna, ile czasu potrzebował Erazm dla wybrania się w podróż, ile na podróż samą, i dzień a niemal godzinę miał już wyznaczoną, na którą się syna spodziewał.

— Jutro Erazio będzie — rzekł do p. Blandyny. Każ dla niego na przypadek co zrobić, aby nie był głodny.

— Jakże to można tak wyrachować na pewno? — odparła siostra.

— To mi dobre! Jutro musi być, a uchowaj Boże, by czy ós pękła, czy koło się złamało, no, to dzień frysztu na to, dajmy pojutrze, musi być.

Ciotka jakoś tej pewności nie podzielała.

Dnia oznaczonego Strukezaszyc dwa razy wyszedł na grobę, potem dopóźna siedział w ganku, na każdy turkot zrywając się i rękę przykładając do czoła. Po dziesiątej godzinie oświadczył, że chyba nie przyjedzie dnia tego. Oczekiwanie następnego dnia kubek w kubek się powtórzyło, tyl-

ko wieczorem Strukczaszye już zaciął usta i gniewał się.

— U tej młodzieży pstro zawsze w głowie. Nigdy się z czasem nie rachują. Błazen z niego!

Następnego dnia zły był także, nie wspominał o synu, a we dwa dni potem zaczął być niespokojnym: czy nie zachorował? Puszczał się w domysły najrozmaitsze — nie rozumiał. Ojcowski rozkaz był rzeczą tak świętą, jak przykazanie Boże, jakże syn mógł go lekceważyć?

Tydzień takiego oczekiwania, wyczerpał cierpliwość; gdyby nie proces, byłby sam może Strukczaszye wybrał się do Wilna, ale sprawa z Łopatyczami za poły go trzymała.

Panna Blandyna milezała.

Miał tedy najroztropniejszy człowiek ze dworu, kucharz Felix, być wysłanym po panicza do Wilna, gdy z miasteczka przywieziono listy od—Kasztelanowej.

Staruszka zwykłym swym stylem i charakterem, ułożoną korespondencyę zaczynała od tego, iż niezmiernie żałuje, że pana Erazma właśnie uprosiła o obejrzenie majątku jej w Witebskiem. Nie mogła ściśle obrachować, kiedy wróci z tej odległej krainy, ale zapewniła ojca, że jest zdrow, że się dobrze bawić będzie i t. p.

Po podpisie i *manu propria*, następował przypisek, który brzmiał jak następuje:

„W Witebskiem panien pięknych dużo i posażnych. Erazio pojechał z rekomendacyami; jeżeli go tam pochwyca a ożenią—nie będę winna. Gotuj się zawczasu gdzie synowę pomieścić, bo z Witebszczankami nie żarty.“

Przypisek, żartobliwy, nic nie znaczący, dał jednak do myślenia Strukczaszcycowi.

— Co to ma znaczyć? hm? Taka kobieta jak Kasztelanowa, bez racyi nie napisze nic? Coś tam jest? Żeby zaś błazen miał bez mojego pozwolenia w jakieś amory się wdawać?—to nie może być. Ale to baba stara, a w głowie jak w Pacanowie.

Poskarżył się przed siostrą.

— Sam-em sobie winien, nie powinienem był go tam posyłać, znając starą trzpiotnicę. Gotowa go bezemnie swatać, a jej swaty nie ciekawa rzecz. I pisze, że go wyprawiała w Witebskie! Jak, co? po co? Cóż, na usługach u niej, czy jakie lichy?

Coś w tem jest.

— Sam-żeś go wyprawiał!—rzekła p. Blandyna.

— No! i już mi to asińdzka będziesz wypominała! Sam! No — sam — któż go miał wyprawiać! Bałem się tej Lullimilli Czemerylli.

— A możesz wpaść z deszczu pod rynwę— szepnęła p. Blandyna.

— Nie! — rozśmiał się Strukczaszyc— bo niema rynwy na świecie, któraby mi od Czemerylli była

straszniejsza. Nawet panna Lucyferówna Dya-  
błowska.

— Pleciesz bo acan—przerwała, czerwieniąc się  
siostra.—Obraza Pana Boga!

Strukezaszyc, widząc siostrę zagniewaną, uznał  
się winnym i chciał zatrzeć niemile wrażenie.

— Nie słyszałaś asińdźka: któż to przecię wy-  
kradł tę lalę, kamerdyner czy kuchta? bo tam u nich  
w domu nikt porządny nie bywał. Wątpię, żeby  
ks. ex-definitor, habit zrzuciwszy, z panną ruszył.

Panna Blandyna, na prawdę temi żartami nie-  
wczesnemi oburzona, wybiegła trzaskając drzwiami.

Był to wielki dzień tryumfu dla p. Strukezaszy-  
ca: po wielu staraniach, zabiegach, a z niemałym  
sumptem, tradycją wyrobił na dwie, wprawdzie  
najgorsze, wioski Czemeryńskiego. Proces o wio-  
lencę i wycięcie lasu, jeszcze się ciągnął, tymcza-  
sowo tylko, za nabyte wierzytelności z zaległemi  
prowizyami, sąd oddawał część majątności w ręce  
Strukezaszyca.

Dziwnem było trochę, że Czemeryński mało się  
co bronił.

W dzieńznaczony do zajęcia, Hojski sam oso-  
biście nie pojechał; wysłał z plenipotencją Kaczo-  
ra i Morawca. Lękał się naostatku oporu i swej  
własnej gwałtowności; nie chciał dopuścić krwi  
rozlewu, ani burdy, aby wszystka wina burzenia  
spokoju spadła na Czemeryńskiego.

Jednakże Morawcowi i Kaczorowi, który teżóżył niepomierne, towarzyszyło kilkunastu ludzi ze strzelbami.

Jeden chłopak wykommenderowany był umyślnie, aby po wzięciu intromissy i obwołaniu posłuszeństwa na Strukczaszyca, natychmiast przybiegł na przełaj, i dał znać jak się to odbyło.

Hojski niespokojny był trochę; przyczajenie się nieprzyjaciela, wydawało mu się podstępem, rzeczą podejrzaną.

Komornik też ruszył z duszą na ramieniu, odmawiając zdrowaśki. Cała nadzieja na tem była, że urząd zjeżdżał, a w odwodzie kilkunastu zbrojnych towarzyszyło. Nadspodziewanie odbyło się wszystko spokojnie. Nie opierał się nikt. Dwór stał pusty; nawet drzwi i okna zawczasu z niego powyjmowano i kawał dachu zdarto; w żadnym śpichrzu nie było ani prószynki.

Gromady, powołane do dworu, ściągnęły się zwolna, mileczące, ponuro zpod oka patrząc, wysłuchają obwołania—pokłoniły się i rozeszły.

Tradycya była dokonana, majątek objęty i chłopak pojechał do Sierhina wskok z oznajmieniem od Kaczora, że wszystko się odbyło—*sine ulla protestatione*.

Nad wieczór, odebrawszy wiadomość pocieszającą, Hojski ucieszył się i zadziwił zarazem. Nie rozumiał Czemeryńskiego,

Słotna i chmurna była noc; Strukeczasyc, wysłuchawszy raportu chłopaka, wrócił do dworu i, chodząc po izbach, pacierze mówić zaczął. Ogień był jakoś wygasł na kominie; stary, modląc się, świecey nie zapalał.

Przyciemno więc było w pokoju, gdy od strony ogrodu z drugiej strony okno, jeszcze okiennicą nie zawarte, jakoś się zarumieniło dziwnie. Strukeczasyc poszedł zobaczyć co to było, i ujrzał na niebie ogromną łunę, właśnie w tej stronie, z której wioski zajechane leżały.

Za lasem był pożar. Tknęło to Hojskiego: wybiegł na ganek, wołając:

— Hryćko!

Parobczak wyskoczył ze stajni.

— Siadaj na bułanego i jedź, zobacz, gdzie to się pali.

Posłyszawszy głos brata, wyszła i p. Blandyna. Zdawała, na pochmurnem niebie, karmazynowa rozkładała się łuna, a że wiatr poruszał obłoki, na których się odbijała, zdawała się poruszać w milczeniu. Wśród nocnej ciszy, ta drżąca zasłona, jakby w krwi zbroczona, chwiejąca się nad głowami, przejmowała trwogą. I Strukeczasyc i siostra przeżegnali łunę.

Długo patrzyli na nią w milczeniu, czekając powrotu posłańca; wreszcie blednąć i przygasać zaczęła, niebo ściemniało—znikła prawie zupełnie.

Nad rankiem wrócił chłopiec ze smutną wiadomością, że we wsi zajętej przez komornika wszystkie zabudowania dworskie spłonęły. Kaczor i Morawiec ledwie uszli z życiem; przyczyna ognia była niewiadoma.

Hojski, wysłuchawszy raportu, powrócił do dworku, niemówiąc słowa:

— Niewiadoma!—powtórzył w duchu.—O! wiadoma! czuć w tem rękę niepoczciwą Czemeryńskiego!

---

W kamienicy pani Kasztelanowej, przy ulicy Trockiej, mniej teraz jeszcze było ładu niż dawniej. Pan Erazm z żoną zajmował po nieboszczyku Kasztelanie pokoje, a stara jejmość bawiła się młodem małżeństwem, niemogąc się niem nacieszyć.

W samym początku dziwne trochę, śmiałe i samowolne obejście się Leonilli raziło Kasztelanową, ale się z niem oswoiwszy, rada była rozrywee, którą ją los obdarzył—rada zapewne i intryżce, co się z nią wiązała.

Do mnogich korespondencyj przybyło zajęcie się państwem młodem, przypatrywanie się ich szczęściu, narady nad tem, jak się to ma skończyć, i w jaki sposób wszyscy się przejednávają. O tem staruszka nie wątpiła, brała to na siebie, chciała aby to było jej dziełem.

Dlatego tak dzielnie dopomagała synowcowi ja-



dącemu po żonę, dostarczając mu powozu, koni i ludzi. Sama potem dopilnowała przygotowania mieszkania, wyjeżdżała na spotkanie, i nie odstępowała ich—aż do zbytku.

Ci mili goście—była to jej troska nieustanna. Faworyci dawni trochę już byli zazdrośni, pocieszając się tem tylko, że przecie ta załoga długo tu pozostać nie może.

Prawdziwą rozkoszą było dla starej Kasztelanowej jeździć do przyjaciółek w odwiedziny i opowiadać im historią synowca, jego ożenienia się, roli, jaką ona sama odegrała w tym akcie i miała jeszcze odegrać aż do ostatniego obrazu przejeżdżania i gody.

W wielu swych listach staruszka nie mogła się powstrzymać od napomknień o miłym ciężarze, jaki spadł na nią. Dotąd wszystko szło jeszcze dobrze; rozwiązanie jednak przedstawiało się niejasno—nie była pewną od kogo zacznie.

Tymczasem pięknej Leonilli i zakochanemu Erazmowi dni płynęły ozłoczone promieniami młodego raju, w którego blaskach wszystko niknie, wszystko się rozplywa. Znajomość obojga, bardzo niedostateczna, krótka, czyniła ich prawie obcymi sobie. Widywali się, kochali, patrząc na siebie jakby z pewnej odległości, która dostrzedz nie dawała: czem byli w istocie. Ani jemu, ani jej nie przyszło na myśl, że zbliżenie się zawodem być mogło i rozczarowa-

niem. W tym wieku szczęśliwym, któż-bo wierzysz w zawody? Świat taki piękny, ludzie tak poczciwi, serca takie szlachetne, Bóg taki dobry — a miłość takim szaleńcem ogarniała!

Jeśli jest opatrność co czuwa nad pijanymi, jak mówi francuzkie przysłowie, musi być i anioł opiekuńczy, który zakochanych strzeże, gdy się tak kochają mocno, że są i anioła wari i straży. Leonilla była trochę popsutem dziecięcym i pieszczoszką, trochę dumną i samowolną, ale serce miała poczciwe, które miłość matki i ojca, ogrzewając, wypielegnowała. Przywiązanie jej dla Erazma płynęło z różnych źródeł małemi strumyczkami, niedojrzanemi, z których się w końcu tworzył prąd silny i potok gotów obalać wszystko, co-by znalazł na drodze.

Z nich dwojga, każde kochało inaczej, oboje równie silnie. Leonilla była królową, ale na świecie nie widziała nikogo, oprócz tego ukochanego, co klęcząc u jej kolan, czekał rozkazów, skinienia szpiegował.

Za rodziców swoich ręczyła Erazmowi, że się muszą dać przebłagać — czuła, że się bez niej nie obejdą. Hojski nie śmiał nie mówić o ojeu, milczał; rachował na wpływ ciotki, na — jakąś opiekę Bożą, do której każda miłość rości sobie prawo. Na prawdę, czemżeby opiekowano się z góry, jeśli nie tem uczuciem świętem, którego zadaniem na

ziemi rozwijać się walką z tysiącem trudności, co mu wyrosnąć nie pozwalają?

Leonilla była prawie wesoła. Erazm trochę trwożliwiej patrzył w przyszłość; ale mu się namarszczyć, ani zachmurzyć nie było wolno. Królowa nie pozwalała.

I dnie płynęły — ot, tak jak kradzione płyną — szybko, piorunowo, bez pamięci na jutro.

Któż ma jutro?

Kasztelanowa wymyślała zabawy, które najczęściej się jakoś nie kleiły, a to je czyniło pociesniejszymi jeszcze. W tym domu nie-bo po ludzku i porządnie iść nie mogło; trybem starym rwało się i płałało wszystko, a Leonilka śmiała się i była szczęśliwa. Jeżdżono kuligami, z których potrzeba było powracać piechotą; dawano obiady, właśnie we dnie, gdy kuchmistrz był chory po wesołym punczu; spraszano na wieczory, gdy miało świec do sali zabraknąć.

Dwór cały naówczas rozbiegał się z krzykiem, wołając ratunku; pan Erazm wynajdywał jakiś środek, śmieli się wszyscy — i kończyło się jaknajlepiej.

Kasztelanowa, niedosyć, że ciągle tę parę chciała mieć u siebie; ale gdy ona odeszła spocząć, ciągnęła za nią, aby jej z oczu nie stracić.

Na tem zajęciu się szczęściem niewiele zyskiwał programat przyszłości. Codziennie go inaczej obmy-

śliwano, a nazajutrz musiano odmieniać; tymczasem nie się nie robiło. Zdaniem Kasztelanowej, nie potrzeba się było śpieszyć i należało dobrze wszystko rozważyć, aby fałszywego nie postawić kroku.

Nie stawiano więc żadnego.

Zdawało się, że ten stan trwać może wieki, gdy jednego dnia Leonilla, stojąca przed zwierciadłem, postrzegła w niem męża, który u okna list czytał, a twarz miał bladą, bladą jak ściana. Przestraszona, podbiegła ku niemu: chciał list schować,— wyrwała.

List był od ojca, nakazywał powrót do domu.

Erazm, milczący, stał, patrząc na żonę, która nie wiedziała co robić, aby go przywrócić do życia: rzuciła mu się na szyję i całować go zaczęła.

W tem drzwi się otwarły i, nieubrana, w czepku nocnym, przelekką, śpiesząc się, wpadła Kasztelanowa, niemogąc mówić tak jej dech zabiło; trzymała i ona list w ręku.

— Na miłość Boga! proszę was — zawołała — Erazju, krzesło podaj, bo padnę. List! Siadajcie koło mnie wszysey! trzeba radzić! List od Strukczaszyca. Spadł jak piorun! Myślałam, że zemdleję, a tu dziś muszę być u Szambelanowej, u Hetmanowej, u Biskupa; obiecałam się Siostrom zakonnicom! Dziesięć listów czeka. Koadjutor—wiecznie zapominam, ma być na obiedzie — Erazju! za-

dzwoń! Trzeba dla niego zrobić z postem. Powiadam wam, dzieci moje, głowa mi pęka.

Wszystko to wyrecytowawszy z pośpiechem, Kasztelanowa do listu wróciła.

Erazm oświadczył, że także list odebrał od ojca.

— Ale wy jechać tak nie możecie!—zawołała.—  
Nie nie przygotowane! Tak wpaść, to wszystko popsuć. To nie może być, ja na to nie pozwolę.—  
Czekajcie.

Cóż ty mówisz, Erazju?

Erazm milczał, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Przecież jesteś głowa domu! mężczyzna! proszę cię.

Wtem odwróciła się do wchodzącej Ostrogradzkiej.

— Proszę cię—Koadjutor na obiedzie, zlituj się! Szczupak tuczony, czy co? Niech dla niego ostryg przyniosą—i burgundzkie. Ostrogosiu! droga moja, gdzie flakonik?

Erazm i młoda pani mieli czas się namyślać; lecz zamiast tego podali sobie dłonie i spojrzeli w oczy: wstąpiło w nich męztwo.

— Więc co? mów? Nie tajcie nic przedemną!—  
poczęła znowu Kasztelanowa — wymagam od was otwartości, jak przed matką. No—jakże?

— Kochana stryjenko—odezwała się Leonilla—  
ja, ja doprawdy nie nie wiem: Razio coś, coś wymyśli, albo ty.

Erazm, zewsząd zagadywany, zmuszony do wypowiedzenia zdania, wyrwał się, wzdychając, z tem, że dla uspokojenia ojca, mógłby pojechać sam — i powrócić. Kasztelanowa-by zawezwała.

— A! ja ciebie nie puszcę! — zawołała Leonilka. — Stryjenko! my jego samego nie puścimy? — prawda?

— Nigdy w świecie! — odezwała się Kasztelanowa.

— Stryjenko — jabym tu z trwogi i tęsknoty umarła! Co będzie, to będzie — ja z nim razem: nie mogę go odstąpić!

Staruszka uścisnęła Leonilkę.

— Zmiłujcie się — przerwała nagle — która godzina? Ja nie ubrana, a tu wizyty i Koadjutor. Puszczaćcie mnie — będziemy radzili wieczorem.

Zegar okazywał godzinę spóźnioną, eo u Kasztelanowej zawsze się trafiało. Nie było przykładu, ażeby się pośpieszyła; oskarżano zegary, ale zegary nie były temu winne.

Jak prędko wbiegła, tak pośpiesznie odeszła staruszka, zatrzymywana po drodze tysiącem spraw niezalatwionych. Z bramy posłaniec oklep pędził po szczupaka, który miał być tuczony dla ks. Koadjutora.

Erazm z żoną, zostawszy sami, zamiast radzić, siedli pod pozorem wielkiego smutku, jedno przy drugim; Leonilka położyła głowę na jego ramie-

niu,—zadumali się. Erazm ręce jej całował. Siedzieli tak długo, długo, do samego obiadu i przyjścia Koadjutora. Nie uradzili nic, ale zapomnieli o wszystkim. Kasztelanowa też, swoim zwyczajem, gwałtownie biorąc każde wrażenie w pierwszej chwili, po wizytach i ks. Koadjutorze i listach, prawie zapomniała o sprawie, która ją zrana obchodziła tak gorąco. Erazm i Leonilla nie przypominali jej, radzi, że się coś stanowczego zwlekało.

Staruszka miała taki temperament osobliwy: zrana rozpadała się nad swojemi kochanemi dziećmi, śpieszyła się radzić, przerażona chodziła; wieczorem myślała o czem innem, a idąc spać, wyznała przed wierną Ostrogradzką, że miała wiele kłopotu z temi młodemi. Tak samo jednak przed Erazmem i żoną jego czasem się na swą kochaną Ostrogradzką uskarżała.

Nazajutrz zrana znowu opanował ją niepokój wielki o—dzieci.

— Co ja tu z niemi pocznę! Ojciec wzywa, a Erazma samego żona nie puszcza — co odpowiedzieć! co robić!

Pobiegła znowu do młodych, którzy, korzystając ze swego nieszczęścia, z egoizmem właściwym miłości, siedzieli przytuleni do siebie, wzajemnie się pocieszając.

Tego dnia, ponieważ ani o szezupaku ani o ks. Koadjutorze nie potrzebowała myśleć, Kasztelano-

wa postanowiła coś stanowczego zdecydować.— Okazało się, że to tak naprędce było niepodobieństwem, i że naprzód należało zyskać na czasie: Kasztelanowa więc wymyśliła, ażeby odpisać Strukczaszyce, iż Erazma posłała do dóbr witebskich. Tym sposobem, mogła przeciągnąć sprawę — i, obrachować wszystkie następstwa.

Wszyscy to uznali za najwłaściwsze, najlepsze; ucałowano rączki starej jejmości, która natychmiast pobiegła — list pisać do Strukczaszyca. — Erazm i żona jego odetchnęli.

Znowu na jakie parę tygodni mieli niezamącone go szczęścia przed sobą. A potem? potem co Bóg da!

Erazm jednak, choć milczący i na pozór zgadzający się na wszystko, czuł najlepiej, że stan taki wyczekiwania i niepewności nie mógł trwać wiecznie. Trzeba było zebrać się na odwagę, wyznać prawdę i rozwiązać przyszłość. Dla żony ociągał się, aby jej nie zatruwać pierwszych dni swobodnych — lecz postanowił przygotowywać ją powoli do stanowczego kroku.

Oboje nie mieli żadnej z Łopatycz wiadomości. Leonilla tylko, dla uspokojenia matki, słała jej bileciki z różnych miejsc datowane, zapewniając, iż była zdrową i że jej nie zbywało na niczem. Pisała również do Francuzki, niewiedząc o jej ucieczce, a prosząc, aby rodzicom była pociechą.

Listy te przychodziły już po odkryciu tajemnicy,



gdym Czemyński rozmyślał tylko nad tem: co zrobić dalej? Dopiekał Strukezaszyc,— trzeba było zadać mu cios śmiertelny.

Przekonawszy się, że Hojski ożenieniu będzie przeciwnym, i że ono go do wściekłości doprowadzi, sędzia pragnał już conajprędzej córkę i zięcia ściągnąć do Łopatycz.

Tymczasem oliwy do ognia dolewał Strukezaszyc, tradując wioski, a sędzia heroicznie pod budynki dworskie ogień kazał podkładać.

Proces zajadły szedł dalej swoją drogą.

Z kartek Leonilli, które z różnych miejsc były nadesłane, Czemyński nie mógł dojść gdzie się młode małżeństwo ukrywało, a pilno mu było je znaleźć i niem się przeciw nieprzyjacielowi posłużyć.

Ponieważ ks. Dagiel napomknął, że p. Blandyna mogła wiedzieć o miejscu pobytu młodych Hojskich, przewyciężając zatem wstręt jaki miał do całej rodziny, Czemyński zbliżyć się do ciotki Erazma postanowił. Łatwem to nie było.

Gdzieindziej jak na plebanii widzieć się z nią nie mógł. Kwestya tylko była czy się ona zgodzi na konferencyę i czy przystanie na rozmowę na osobności. Ks. ex-definitor jako parlamentarz musiał siaść na wózek i na plebanię pojechać. Szło niby o zgodę—ksiądz Dagiel nie odmawiał pośrednictwa. Zapraszał na Niedzielę.

Czemeryński, mimo biedy w domu, paradnie wystąpiwszy, na mszę pojechał sam, gdyż sędzianka jeszcze była zbyt osłabioną, aby mogła wyruszyć z domu.

Po nabożeństwie Czemeryński udał się z kapłanem na probostwo. Panna Blandyna już się tam znajdowała; ale trzeba było czekać, aż się od proboszcza goście rozjadą.

Gdy pozostali sami, Czemeryński z wielką propozycją przystąpił do Strukezaszanki. Nadał sobie powagę i smutek człowieka, który zniża się do traktowania z pośledniejszego stanu osobami, przez miłość dla dziecięcia.

— Ksiądz proboszcz — odezwał się patetycznie — mówił zapewne acani dobrodziejce o tem, co mnie tu sprowadza. Jestem ojcem: dla jedynego dziecka wiele gotów jestem poświęcić. — Chciałbym co najrychlej i córkę odzyskać i wyjść z tej niepewności, jaka mnie dręczy. Pani dobrodziejka musisz być uwiadomioną o tem, gdzie się oni znajdują.

Duma, z jaką wyrażał się Czemeryński, ledwie racząc spojrzeć na p. Blandynę, obudziła w niej trochę męstwa i poczucia godności.

— Bardzo-bym się cieszyła — dodała — gdyby nieprzyjemne spory, dwie rodziny z sobą dzielące, raz się mogły skończyć; lecz, po tylu dowodach zawziętości, trudno mi wierzyć w łagodniejsze pana dobrodzieja usposobienie.

— Ja za to jedno uroczęście pani ręczyć mogę — odparł sędzia — że zięcia, choć nie miłego mi, przyjmuję. Chcę mieć córkę i jego w domu. Jak się reszta załatwi, to nie odemnie zależy.

Gdzie oni są? gdzie się oni kryją? — dodał Czemeryński.

Panna Blandyna namyslała się; podniosła oczy pytające na ks. Dagiela.

— Im prędzej się to skończy, tem lepiej — wtrącił proboszcz — jestem przekonany, że intencje sędziego są dobre. Taić się na nie nie przyda.

Z obawą wielką, wahając się, panna Blandyna oświadczyła naostatek, że, ponieważ brat jej syna do Wilna, do Kasztelanowej wyprawił, prawdopodobnie tam się młode małżeństwo znajdować musi. Zaraz jednak dodała, że nie jest tego pewną.

Czemeryński jak tylko nie pochwycił, conajprędzej pożegnał Strukezaszankę, proboszcza i powrócił do domu. Dla niego nie ulegało wątpliwości, iż w Wilnie powinien był szukać córki. Uspokoiwszy żonę, sam conajrychlej wybrał się w drogę do Wilna.

Miłość dla Leonilli, była pewnie jedną z pobudek tego pośpiechu, ale niemniejszą — pragnienie zemsty nieukozone.

I gdy w Wilnie, wcale nie myślano, aby ich tu kto mógł wyszpiegować, jednego dnia pan sędzia pieszo z gospody przy ulicy Wileńskiej, przepro-

wadzony przez żydka, który mu drogę wskazywał, zjawił się w pałacowej bramie.

Zwykła wrzawa i nieład panowały w siedzibie pani Kasztelanowej. Wypadkiem tylko jakimś, marszałek dworu Płachciewicz, do którego na warcaby dnia tego Franciszkanin przyjść nie mógł, znajdował się niedaleko wrót, zajmując się gwałtownem robieniem porządku po swojemu. Napadały na niego takie nagłe momenta gorliwości. Przez miesiąc czasem nigdzie nie zajął; potem jak burza spadał na gawieź, i — na grzbiecie stróży kończyło się to porządkowanie.

Właśnie z ogromną wrzawą indagował marszałek winowajcę, gdy zoczył w bramie mężczyznę poważnego i, ręką nakazawszy mileżenie powołanym przed sąd, sam osobiście zwrócił się ku gościowi, z figury i stroju domyślając się w nim kogoś dostojnego.

— Wszak nie myślę się, jest to pałac pani Kasztelanowej?—zapytał sędzia.

— Tak jest! tak! — odparł Płachciewicz, jasnie pan daruje, że tu wpadł na takie larum, ale to z tem bydłem, z pozwoleniem, inaczej nie można jak siecz, bij i łaj!

Otarł uznojone czoło.

— Wszak młody Hojski z żoną, mieszka także w pałacu?—zapytał sędzia grzecznie, ale dumnie.

Marszałek nie sądził, aby z tego tajemnicę robić było potrzeba.

— Tak jest, schody na prawo, na pierwszym piętrze — rzekł Płachciewicz — jaśnie pan pozwoli, ja dam przewodnika.

— Hej! Pietruszka! — krzyknął.

Zjawił się w negliżu chłopak, ogryzający kość, którą rzucił.

— Prowadź do państwa młodych.

To mówiąc, marszałek, który czuł, że aż do zbytku spełnił obowiązek gościnności, zlekka się skłonił, i z furją powrócił na dziedziniec, porządkować dalej podwładnych.

Erazm i Leonilla siedzieli najspokojniej na berżerze, szepcząc coś sobie i patrząc w oczy, gdy jak widmo straszne zjawił się przed nimi Czemeryński w progę. Po pierwszym okrzyku, Leonilla zerwała się i zamiast do nóg paść ojcu, który stał z twarzą zagniewaną i bladą, na szyję mu się rzuciła postaremu. Erazm potrzebował nieco czasu aby przyjść do siebie; wstał i za żoną poszedł, ale do nóg Czemeryńskiemu się zniżył.

Sędzia zdawał się nie chcieć go widzieć, ale córka już odzyskała swą odwagę, swe panowanie nad ojcem.

— Tatku — zawołała, klękając przed nim — chcesz mieć mnie, musisz przyjąć tego, którego ja wybrałam. Ja go nie opuszczę, losy jego dzielić będę.

Dopiero zmuszony, sędzia, zwrócił się ku zięciowi, coś mrużąc niewyraźnie.

— On nie nie winien—dodała śmiało młoda pani—winniśmy oboje, a głównie—ja! Gniewaj się na mnie, jeżeli chcesz—ja inaczej nie mogłam być szczęśliwą. Kocham go.

Czemeryński słuchał, to się poddając urokowi głosu odzyskanego dziecka, to jeszcze burząc się na widok Hojskiego.

— Jegomość pan Erazm Hojski nie będzie się dziwował—rzekł Czemeryński—że go odrazu serdecznie witać nie mogę—wie on najlepiej dlaczego. Nadto wiele przykrych wspomnień niesie mi jego nazwisko.

— Które jest mojem teraz — kochany ojeze — przerwała Leonilla. Potrzeba zapomnieć, darować. Wstrząsnął głową sędzia.

— Po to tu przybyłem, abym zapewnił was, że — przebaczyłem, odezwał się — proszę tylko nie za wiele wymagać odemnie, bo i tak czynię wiele.

To mówiąc, córkę uściskał.

— Matka twoja — rzekł, unikając spojrzenia na Hojskiego — chorowała dosyć mocno; teraz się ma lepiej. Mam nadzieję, gdy powrócimy do niej wszyscy, że całkiem ozdrowieje.

— A bona?—spytała Leonilla.

Zmarszczył się mocno sędzia, ręką rzucił.

— Niéma jej — rzekł krótko — i dobrze zrobiła, że

pojechała zawczasu precz. Ona była wszystkiego przyczyną, jej to sprawa! jej!

Leonilla poczęła ścisnąć ojca.

— Nie mów tak — odpowiedziała — ja jestem szczęśliwa, niepowinieneś narzekać na to. Przyśięgam ci, poszłam dobrowolnie, wybrałam go — i gdybym jutro miała do wyboru, jego z tysiącabyłam wzięła.

Erazm pochwycił ją za rękę i pocałował. Czemeryński, widząc, jak córka wprost z jego uścisku schyliła się ku mężowi, nie mógł powściągnąć jakiegoś mimowolnego ruchu, w którym się wstręt i niechęć malowały.

Podano krzesło przybyłemu.

Milczeli wszyscy; jedna Leonilla szczebiotała potrosze; położenie było przykre, bo z twarzy Czemeryńskiego czytała córka, że wybuchnąć może eochwila.

Płachciewicz, który tego dnia był nadzwyczaj czynnym, oznajmił p. Ostrogradzkiej, że jakiś bardzo słuszny pan poszedł z wizytą do młodych; ta oznajmiła o tem Kasztelanowej, a staruszka, ciekawa zawsze i niecierpliwa, narzuciwszy peruczkę, poszła zaraz nareszcie się przekonać, kto tam był taki. Właśnie gdy Czemeryński siedział, walcząc tak z sobą, weszła pani domu. Sędzia powstał. Przygotowanym był na wyszukany komplement.

— Pani kasztelanowa dobrodziejka dozwoli mi

u stóp swych złożyć należny hołd i wdzięczność za łaskawą opiekę nad córką moją.

— Pan sędzia! — krzyknęła staruszka żywo. — O mój Boże! Co za szczęście, zatem z jednej strony wszystko skończone!

Ale, padnijcież mu do nóg! Erazm, natychmiast, do nóg panu sędziemu, Leonciu, ty z nim — pobłogosław!

Zmieszany Czemeryński, który połowę komplementu miał jeszcze w sobie, zbił się z tropu. — Dzieci klęczały, kasztelanowa nalegała — musiał błogosławić.

Staruszka tak naprędce spełniwszy co było najpilniejszego, natychmiast już myślą skoczyła gdzieindziej.

— Asindziej u mnie na obiedzie! A! zmiłujcież gdzie ta Ostrogradzka, żeby sztuka mięsa była dobra, a może barszcz lubisz?

Czemeryński osłupiał.

— Niech-że Bogu najwyższemu będą dzięki, ciągnęła dalej staruszka. — Ja-bo mówię zawsze, że nigdy desperować nie trzeba w najgorszym położeniu.

A jakżeś się acan dobrodziej dowiedział, że dzieci są u mnie? od kogo? jakim sposobem?

Czemeryński przyznać się nie chciał, wybąknął, że się tego domyślił, przeczuł, dopytawszy się, iż p. Erazm jest w Wilnie.



Nazbyt było pilno Kasztelanowej rozgadać się z Ostrogradzką o wypadku, aby tu długo wytrwać mogła. Przemówiła jeszcze słów kilka, wstała, zakreśliła się.

— Zatem, ja czekam z obiadem, jeszcze mam mnóstwo na głowie! Nie uwierzysz acan dobrodziej, niech dzieci powiedzą, co to ja za nieszczęśliwa z temi interesami. A oto i sejmiki u nas, piszą z Warszawy o posłów—i to na mojej głowie. Wszystko! a tu pani Hetmanowa z Wojewodziną się popstrykały, kto godzi? — ja! Jak Bóg miły! historye! Gdzież Ostrogradzka? Zostawiam pana dzieciom. Pamiętajcież na obiad być gotowemi.

Wysuwała się już śpiesząca pani, którą Czemeryński do drzwi odprowadzić czuł się w obowiązku.

Nagle wtargnięcie gospodyni domu miało ten szczęśliwy skutek, że sędziemu dało ochłonąć i ostygnąć z gniewu, jaki w nim widok zięcia obudził. Wrócił do myśli, z którą tu przybył.

— Ja tu—rzekł obracając się do córki, ku której ciągle unikając Hojskiego, pochylał się—ja tu długo bawić nie mogę. Przybyłem po to, ażeby was zabrać z sobą do Łopatycz.

Leonilla spojrzała na męża.

— Pan sędzia—począł Erazm.

— Mówże ojciec!—poprawiła żona.

Czemeryński się namarszczył, lecz nie zaprzeczył.

— Ojciec — wyjąknął z trudnością Erazm — pozwoli może, ażebym ja uprzedził przybycie nasze wspólne i sam naprzód pojechał. Mój ojciec do-  
tąd zapewne nie wie.

— Nie wie—potwierdził sucho Czemeryński, ale niema potrzeby stawić się waćpanu przed nim osobno. Na miejscu rozważymy co uczynić wypadnie.

— A tak! — potwierdziła Leonilla, przyciągając męża ku sobie — tak — ja cię osobno nie puszcę. Jeżeli stawić się mamy, będę miała odwagę iść z tobą.

— Potem o tem! — przerwał nagle sędzia. — Na miejscu dopiero rzeczy się pokombinują. Nam ztąd należy conajrychlej wracać do domu. To moje żądanie, rozkaz mój.

Młodzi milczeli, patrząc na siebie; Erazm stał zamysłony mocno. Czemeryńskiemu widocznie świadek ten niewygodny zawadzał; rad się go był zbyć. Naostatek pociągnął z sobą córkę do drugiego pokoju. Erazm, —któremu odchodząca oczyma dała znak, ażeby miał mężtwo — pozostał sam. Cała groza położenia przebiegła mu w piersiach ogniem, w głowie błyskawicą. Stawał niejako w obozie przeciwnym ojcu, w przymierzu z jego wrogami. Znał nadto dobrze Strukczaszyca, by sobie łatwem wyobrazić mógł zwycięstwo. W Czemeryńskim czuć było także, nie przejednanie i czułość, ale zawziętość jakąś, na chwilę pohamowaną.

Gdyby nie ona, gdyby nie ta ukochana! Dla niej musiał cierpieć—a tego, co go czekało, ani podobna było przewidzieć. Ale z nią i dla niej gotów był na wszystko. Przed oczyma miał groźną twarz ojca. Zdawało mu się, że leżał u nóg jego i czuł jak go odepchnął od siebie. Dla miłości tej kobiety, w istocie zdradził ojca, czuł się winnym! Zimny pot występował mu na czoło.

Stał jeszcze w tych myślach zatopiony, gdy Leonilla weszła sama. Czemeryński odszedł był do siebie, obiecując na obiad powrócić; ona wprost przybiegła uwiesić mu się na szyi.

— Nie trwóż się!—widzisz!—ojciec mój przebaczył, twój musi uczynić toż samo. — Ja z tobą, ja cię nie odstąpię.—Nie ty, ja go będę prosiła o przebaczenie.

Poczęli szeptać z sobą, Erazm, jeśli się nie uspokoił, musiał udać spokojniejszego. Aż do obiadu siedzieli razem. Leonilla była tak ożywiona, szczęśliwą, pewną siebie i władzy swej nad rodzicami, że mężowi nie dała się ani troszczyć, ani stęknąć. Zatykała mu usta.

Przy obiedzie Kasztelanowa tyle rzeczy opowiadała, Czemeryński był przez nią tak obleżony, iż o młodem małżeństwie mowy wcale nie było. Sędzia tylko zręcznie wtrącił, iż mu dla chorej żony nadzwyczaj było pilno powracać do domu, wraz z córką (nie wymieniał zięcia), i że nazajutrz wie-

czorem, za gościnność złożywszy powinne dzięki, radby wyruszyć w podróż.

Oparła się temu Kasztelanowa, pragnąc sędziego zapoznać, przy drugim obiedzie, z osobami wpływowemi, któreby mu się w przyszłości wielce przydać mogły.—Czemeryński w każdym innym razie nieochybnie-by przyjął z wdzięcznością tak pożądane zaproszenie; ale teraz—teraz jedno miał na myśli: powrót conajrychlejszy do Łopatycz i rozprawę ze Strukezaszycem. Próżne więc było naleganie.

Po obiedzie Kasztelanowa omało się nie rozpląkała; przywykła była do tych dzieci przybranych—zabraknąć ich miało w pustym domu. Łamała ręce. Szczęściem ta tęsknota nie mogła trwać długo, bo w naturze Kasztelanowej było z dnia na dzień zmieniać i przywiązania i wstręty — a zapominać wszystko.

Całą resztę dnia tego pakowano się na pierwszym piętrze, sposobiono do drogi. Czemeryński pomimo zabiegów córki, zięcia unikał, nie zwracał się wcale ku niemu, zaledwie mu odpowiadał—nie widział go. Kilka razy Leonilla wymówiła to ojeu na ucho.

— Daj-że mi czas, ażebym się do niego przyzwyczaił—odparł Czemeryński—nie sposób, abym odrazu miał pokochać. Niech na to zasłużą.

Pożegnanie z Kasztelanową było jaknajczulsze,

splakała się, ściskając dzieci, a że przewidywała dla Erazma wiele prób ciężkich, i serce miała dobre — choć sama w interesach, zapożyczyła się gdzieś, aby mu wcisnąć zasiłek na drogę.

Odmówić chciał Hojski.

— Bierz, nie pytaj — rzekła — oddasz mi później. Kto wie co cię czeka; nie trzeba, ażebyś był na łasce. Hojski jesteś.

Nazajutrz wprawdzie mocno żałowała staruszka, że to w pierwszym uczyniła popędzie, Ostrogrodzka też jej to ganiła — ale już było po czasie.

Przez zasy py śnieżne ekwipaż sędziego zwolna się przedzierał ku Łopatyczom.

---

Podkomorzy Buchowiecki, jak wielu ówczesnych panów i półpanków, życie prowadził bardzo czynne i rzadko go w domu zastać było można. Stosunki przez zięcia ze dworem dały mu teraz znaczenie pośrednika pomiędzy nim a obywatelstwem. Opierały się o niego interesa najrozmaitsze, własne i cudze. Nigdy nie frymarczono tak urzędami, starostwami, dobrami, wpływem, jak pod koniec panowania Augusta III. Pan Podkomorzy należał do najczynniejszych pracowników w tej winnicy.

Ciągle też był na wozie, na saniach, w Warszawie, w Białymstoku, w Dreznie, w Grodnie na sej-

miku jakimś, zjeździe lub kommissyi; wdomu—gościem prawie.

I nie dziw, że o przyjacielu swym Czemeryńskim dowiadywał się tylko przez ludzi, zwłaszcza od czasu historyi z Vogtem, która go nieco dotknęła. Nie gniewał się na sędziego, ale żał miał do niego.

O ucieczce córki dowiedziawszy się, Buchowiecki, wyjechał zaraz do Warszawy, bawił tam dosyć długo, a gdy był zmuszony w Brześciu zjechać się na moście na Bugu, zetknął się z księdzem ex-definitorem.

Zobaczywszy go, kazał stanąć. Niewiele miał czasu, chciał jednak coś się o Czemeryńskich dowiedzieć.

— Cóż to ojciec nie w Łopatyczach?—zapytał.

— Nie—odpoczywam—rzekł Dominikanin—sędzina trochę chora, a sędzia do Wilna po córkę pojechał.

— Jak to po córkę?—a gdzie ona?

— To pan nie wie!

— O bożym świecie!

— Wyszła za mąż za Hojskiego.

— Co mówisz!—za jakiego!—zlituj się.

— Za młodego Hojskiego z Sierhina.

— Możeż to być!

— Ale tak jest—Czemeryński przebaczył i pojechał po nich.

— A! to cud! tak mi Boże dopomóż! To cud!

Miał się Podkomorzy rozpytywać więcej o tę ciekawą sprawę, gdy nadjechał ktoś i przerwał rozmowę. Ksiądz ex-definitor siadł na sanki i ruszył dalej.

Podkomorzy miał tyle rzeczy na głowie, że, na moście Podstarościęgo brzeskiego chwyciwszy, strawił z nim jeszcze pół godziny na tergiwersacyach sejmikowych. Siadł potem i pojechał dalej. W drodze mu z głowy nie mogło wyjść: jakim sposobem z tej srogiej wojny przyszło do małżeństwa?

Szczegółów nie wiedział żadnych, był najpewniejszym jednak, że Strukeczaszyca na małżeństwo zezwolił, że był z niego szczęśliwym i że wypadało mu tak znamienitego sukcesu powinszować.

Nazajutrz, w sejmikowej wędrownicy po Kobryńskim powiecie, znalazł się Podkomorzy niedaleko Sierhina.

— Wstąpię do Strukeczaszyca—rzekł sobie w duchu—to mu się należy.

Kazał woźnicy nawrócić do dworu.

Hojski, choć z Podkomorzym był niezgorzej, nie lubił go jako jawnego przyjaciela i konfidenta Czermeryńskich. Poznawszy przybywającego, poszedł wdziać nową kapotę, pogładził włosy i wysunął się na spotkanie.

— Kochanego Strukeczaszyca, pana mego i dobrodzieja! — zawołał Podkomorzy ściskając go. — Będąc w okolicy, miałem to sobie za święty obo-

wiązek nawiedzić progi wasze. Weszli byli właśnie do pokoju, w którym i panna Blandyna w białym czepcu ogromnym, z pończochą, siedziała.

Grzeczny Podkomorzy zbliżył się dla powitania jej, to mu rozpoczętą mowę przerwało.

Natychmiast jednak z rękami rozpostartymi zbliżył się ku stojącemu zimno i poważnie, z zaciętymi usty, Strukczaszyowi.

— Niechże ci powinszuję!—zawołał.

— Czego! — odparł chłodno gospodarz — mnie, czego?

— Jakto?—czego? Właśnie na drodze od księdza Ambrożego się dowiedziałem. Uradowałem się niewymownie, dla was obu! To ślicznie! to cudownie!

Rzucił się w objęcia Hojskiego, który nieco zdumiony, trochę zmieszany i zniecierpliwiony, począł coraz głośniej powtarzać.

— Ależ czegoż mi pan Podkomorzy winszujesz? czego? czego? ja o niczem nie wiem?

Buchowiecki stanął, oglądając się dokoła z roz-targnieniem.

— A no! przecież ożenienia syna!

— Co takiego!—krzyknął gwałtownie Strukczaszye—co? co?

Podkomorzy po głosie dopiero poznał i domyślił się, że—coś w tem było zagadkowego, i że bą-



ka strasznego wystrzelić musiał. Jako człowiek zręczny, patrzył tylko którądy i jak się wycofać.

— Cóż to jest? — zawołał — miałażby to być bajka?

Strukezaszycy oczy w niego wlepił, jakby go chciał pożreć.

— Od ks. Ambrożego pan słyszałeś? co? jak? mój syn! Mów pan! Żarty czy mistyfikacya? — wołał Strukezaszycy.

Oczy p. Blandyny padły na mówiącego, błagające, przelekłe, tak, że Podkomorzy struchlał. Sam nie wiedział co mówić.

— Ale na miłość Boga, ciągnął Hojski głosem przerywanym — jeśli mi pan co dobrego życzysz, mów — cóż to jest znowu!

Podkomorzy począł się śmiać, nadrabiając miną.

— No, nic, nic — rzekł — zażartować chciałem i nastraszyć! Nie gniewaj-że się, kochany przyjacielu. Mówiono mi, żeś syna posłał do Wilna; chciałem ci napędzić Piotra.

To mówiąc, ścisnąć chciał Hojskiego, który nie przyjmował uścisku, — drżał z rozdrażnienia.

— Piękny żart! — przebaknął. — W istocie napędziłeś mi pan nie strachu, ale gniewu. Do naszej młodzieży terazniejszej wszystko to podobne, nawet ożenienie się z pomywaczką bez rodzicielskiego błogosławieństwa! Ale gdyby mi syn choć księżniczkę samowolnie zaślubił — ani-bym go na oczy

puścił! Nie znałeś mnie—nie znam cię! Chciałeś mieć wolę — ruszaj z Bogiem!

Głos się trząsł Strukczaszyowi.

— Nie spodziewam się tego po moim synu—do-  
dał—ale choć mi jedynym jest, nieposłuszeństwam  
bym nie ścierpiał.

Podkomorzy rad, że się jakkolwiek wykręcił,  
z wejrzenia p. Blandyny zmiarkowawszy, iż coś tu  
było, czego poruszać się nie godziło, zaledwie  
przyjawszy przekąskę, koniom niedając odejść do  
stajni, zawiął się i umknął.

Po wyjeździe jego, choć niby udobruchany Hoj-  
ski, ściąwszy usta, chodził po izbie, trutynując żart  
Podkomorzego. Wydał on mu się podejrzanym.  
Przypominając wniście, zagadanie, minę, głos. pom-  
ieszanie, niezgrabne wycofywanie się Buchowiec-  
kiego, Strukczaszy nabierał przekonania, że to  
nie był żart wcale, ale niewczesne wyrwanie się  
z czemś, co może przed nim tajono.

Wyjazd Erazma w Witebskie, spóźniony powrót,  
milczenie—zaniepokoiły go.

Panna Blandyna siedziała z robotą w pokoju,  
może dlatego, że jeszcze sił nie miała do wyjścia,  
tak straszliwie się ulęknęła.

— W tem coś jest! — zawołał stając przed nią  
nagle brat.—Podkomorzy, jak zając przed hartem,  
dał kominka przedemną—ale mu z twarzy patrzyło,  
że kłamie. W tem coś jest!

Jakieś plotki chodzą o Erazmie, a ja o niczem nie wiem.

Kasztelanowa mi pisze, że go gdzieś posłała. — Gdyby go była i do Smoleńska wyprawiła, miał czas powrócić i stawić się. W tem coś jest....

Staął przed siostrą, oczekując odpowiedzi. Nie rychło podniosła głowę, potrząsała nią i niemogąc słowa wymówić, wróciła do swej roboty.

Strukezaszyc chodził po pokoju. Na dziedzińcu pokazały się saneczki komornika, zataczające się na wyslizganej drożynie, tak, że pod gankiem uderzyły o balaski. Strukezaszyc wyjrzał.

— Fraszka sanki — rzekł — ale i Kaczor się coś zatacza, musiał go ktoś po drodze utraktować.

Komornik wchodził właśnie, w samej rzeczy pijany, zarumieniony mocno, ale tem weselszy. Zaczął od tego, że, parę razy się poślizgnąwszy, bo miał śnieg na butach, zbliżył się do ręki p. Blandyny, potem do kolan Strukezaszyca.

— Siadaj, bo jeszcze się przewrócisz! — zawołał Strukezaszyc. — Gdzie-żeś to pił?

— Pił? ja? pił? — rozśmiał się Kaczor, sadowiąc się u drzwi. — Oprócz co dla mrozu kieliszątko malusienieczkie u Ieka, nic w ustach nie miałem.

— Dał ci jakiegoś licha! — mruknął Strukezaszyc. Komornik potarł twarz.

— Ale mróz! — zawołał — choć łysych liczyć.

— Nie słyszałeś i ty po drodze tej nowiny,

z którą tu Podkomorzy był przed godziną — he? —  
mówił Hojski.

— Jakiej?

— Że mój pan Erazm się ożenił! — krzyknął  
Strukezaszyc.

Z tą nowiną właśnie jechał komornik i, dla do-  
dania sobie meztwa, upił się w drodze. Pałając  
zemstą przeciw sędziemu spodziewał się ją na-  
sycić, za narzędzie używając Strukezaszycyca. Wie-  
dział on już o wszystkim, i o podróży sędziego.  
Pytanie zadane było mu cudownie na rękę.

— He! — to pan już wie! — krzyknął — Hojski  
zbladł.

— Co pleciesz! co!

— Pan już wie!

— Nic nie wiem, oprócz, że Podkomorzy bałwan,  
a tyś pijany.

— Kaczor popatrzał dokoła.

— Wszystko to może być — dodał — a mimo to  
p. Erazm się ożenił — no! i niema co mówić, że się  
pięknie ożenił.

Ledwie wyrazów tych pomówił Kaczor, gdy  
Strukezaszyc doń przyskoczył, chwycił go za pier-  
si, strzepnął nim i głosem okropnym wrzasnął:

— Ty, jakiś! Co gadasz? co?

Hojski zrobił to w pierwszym uniesieniu, nie my-  
śląc; gdy zobaczył w rękach swych nieszczęśliwe-

go komornika, opamiętał się i zawstydził.—Rzucił go napowrót na krzesło.

Przestрах Kaczora najpierw go prawie zupełnie wytrzeźwił, potem rozbudził w nim tę chęć bezsilną zemsty, która u słabych rośnie w stosunku ich niemocy.

— Coś to powiedział? — spokojniejszym głosem począł Strukezaszyc — powtórz. Wolno takiemu człowiekowi jak Podkomorzy pożartować sobie zemną, ale tobie, trutniu! wara!

Ktoby zajrzał do serca komornika w tej chwili i chciał osądzić: czy większą miał żądzę zemsty nad sędzią czy nad Strukezaszycem? — nie umiałby zaprawdę rozwiązać zadania. Kaczor z czerwonego stał się bladym, a oczyma zdawał się smagać przeciwnika.

— Nie żartowałem — odezwał się — a i p. Podkomorzy pono więcej wiedział niż mówił, bo p. Erazm się ożenił.

Chce pan może wiedzieć z kim? no — to z p. Czermeryńską.

A ha!

Zatoczył oczyma Strukezaszyc — przypadła do niego siostra — zachwiał się na nogach, rękę do czoła przyłożył. — Pomiło wielkiego męztwa i siły — mało nie padł.

— Wody! — krzyknęła p. Blandyna.

Hojski już był oprzytomniał i zlekka ją odtrą-

cił. — Oczy wlepił w siedzącego u drzwi komornika; stał niemy. Łzy ciekły po twarzy p. Blandyny. Milczenie długie panowało w izbie.

— Prawda to? — słabym głosem odezwał się wreszcie Strukezaszyc.

Komornik nie śmiał ust otworzyć; siostrze zdawało się, że po przebyciu takiego ciosu, nadaremnie przeczyć, aby on się ponowił, byłoby okrucieństwem. Cichuteńko szepnęła:

— Prawda!

Strukezaszyc spojrział na nią.

— Ty wiesz o tem?

Odpowiedziało milczenie.

Siadł Hojski na najbliższem krześle; twarz jego tak się zdała straszną komornikowi, że się wyslizgnął z izby. Strukezaszyc mileżał uparcie. Panna Blandyna coraz go o coś pytała: czyby mu nie podać wody, kawy, kropli.—Nie—odpowiedział.

W tem skamienieniu człowieka straszniejszego coś było od konwulsyjnych porywów, jęków i narzekania. Był jak zabity.

— Prawda! prawda! szepnął machinalnie.

— Bracie kochany—bracie! chwytać go za rękę poczęła Blandyna.

Odsunął ją z wolna od siebie.

— Niéma ani brata, ani siostry, ani ojca, ani syna — odezwał się — bydło, nieprzyjaciele, wrogi. Ludzi niéma, nie, niéma.... Erazm....

Zaczął głową miotać—Erazm, mnie ojca, sprzedał za paskudną dziewczkę! Zdradził! związał się z nimi!

Nie mam syna!

— Bracie—przerwała p. Blandyna—nie przeklinaj go i nie wyrzekaj się. Zastanów się. Nie wiemy jak się to stało.

— Nie mam syna! — powtórzył silniej Strukezaszyc.—Milez—idź, zostaw mnie samym.

Panna Blandyna zamilkła, ale nie posłuchała. Lękała się go samym zostawić. Nie patrzył na nią i zdawał się jej nie widzieć. Chodził jak błędny po izbie, to siadając, to wstając, bez wiedzy o tem, co się z nim działo.

Nad wieczorem ochryłym głosem zawołał, by mu przyprowadzono Kaczora. Komornik miał czas się przespać i rozmyśleć; gdy przyszedł, był już trzeźwym, ale tak złym jak rano.

— Mów mi co wiesz!—zamruczał Strukezaszyc.

— Ja nie wiele wiem — odparł, dając się Kaczor. Znał się syn pański z panną sędzianką—gdzie i jak: tego nie wiem. Namówili się do ucieczki, ks. Dagiel ślub dał i pojechali do Wilna. No—a teraz z Wilna ich Czemeryński wiezie, bo on nie przeciw temu nie ma — a i darmo-by po czasie protestować.

Na wspomnienie ks. Dagiela, wstrząsł się Hojski.

— Książd Dagiel?—to nie może być.

— Gdyby nie dał on, znalazłby się inny— rzekł obojętnie Kaczor.—Pan się też nagniewasz, nasrożysz, a będziesz musiał tak jak Czemeryński akceptować—to trudno.

Z pod brwi nawisłych spojrział nań Strukezaszyc, aż się przed tem wejrzeniem cofnąć musiał nieco Kaczor. Porównanie go z sędzią ubodło niezmiernie Hojskiego.

— Co Czemeryński to nie ja! — zawołał — rozumiesz!

Podniósł pięść, komornik skulił się i zmilczał.

— Więc to się pod nosem, tu u mnie działo; ks. Dagiel taki łaskaw, że pobłogosławił—a o mnie, ojcu wiedzieć nawet nie chcieli, że żyję—jakby mnie na świecie nie było!—Począł przerywanym głosem Strukezaszyc. Spisek na mnie uknuli. Czemeryńskiemu to na rękę, pewnie: processu chce się zbyć i córki, którą-by mu niełatwo kto wziął. Zapomnieli tylko, że p. Erazm, a ja—to nie jedno.

Ja go znać nie chcę.

Kaczor patrzył i słuchał ciekawie. Panna Blandyna napróżno usiłowała mowę mu przerwać, obawiając się, aby syna nie przeklął.

Po milczeniu długiem potrzeba wylania się z żalem, otworzyła usta Strukezaszycowi; ale, nienawykły do mówienia, przerywanemi słowy wybuchał i milknął. Oczy mu dziko pały.

Komornik stał ciągle w progu.



— Więc to już po całym sąsiedztwie chodzi, że ze mnie sobie tak zadrwiono!— wołał Hojski:

— Nie wiem czy kto o tem wie, a ja dopiero-  
m się wczoraj dowiedział, od oficyalisty z Łopatycz,  
bo się tam państwa młodych dziś jutro spodzie-  
wają.

Strukczaszyce zadał krótkich kilka pytań Kaczorowi, potem spójrzał na siostrę, nieustępującą na krok, i rzekł głośno:

— Będę mówił pacierze, idźcie acaństwo każde w swoją stronę.

To powiedziawszy, wziął za różaniec leżący na stole, przeżegnał się i poszedł ku oknu; p. Blandyna, zawahawszy się trochę, wyszła nareszcie z pokoju, dając znak komornikowi.

Głośno oddawszy dobranoc, Kaczor wysunął się za nią. Czekala go tu zasłużona bura.

— Miałaś acań potrzebę — zawołała gniewnie Strukczaszanka—po pijanemu tu przyjeżdżać z nowiną, o którą cię nikt nie prosił! Kara Boża dla domu, gdzie acań się wciśniesz. Bogdaj cię nasze oczy nie widziały!

Tak ulżywszy zbolałemu sereu, odwróciła się żywo p. Blandyna i, zostawując w sieni komornika, pobiegła i zamknęła się w swoim pokoju.

Przez cały wieczór jednak niepokój o brata ciągle ją wywoływał pod drzwi jego pokoju. Podśluchiwała co robił, odgadywała po ruchach, we-

stehnieniach i modlitwach nawet, jaką boleść miał w sercu. Godzina snu zwyczajna minęła oddawna, a Hojski nie myślał o spoczynku; to się modlił, to wzdychał, to milczał. Nie kładła się też spać i siostra, chcąc doczekać, aż znużony w łóżko się położy. Słyszała go chodzącym po izbach do rana prawie; później ucichło, i ona, nierozbierając się, głowę na poduszce złożywszy, usnęła trochę.

Rano sama, słysząc ruch w pokoju brata, zaniósła mu kawę. Zdziwiło ją niezmiernie, gdy, wszedłszy, znalazła w pokoju przygotowania do drogi.— Strukezaszyc był ubrany, buty zimowe stały przy drzwiach, delia lisami podbita, strzelba, torba myśliwska i tłómaczek. Z drugiego pokoju widać było kantorek otwarty, papiery porozrzucane.

Zobaczywszy siostrę Strukezaszyc, bladą i zmienioną, odwrócił się ku niej.

— A to dobrze, żeś przyszła, bo mam niektóre dyspozycye—odezwał się.

— A cóż brat myślisz?—zapytała przestraszona Strukezaszanka,—wybierasz się w jakąś drogę.

— Tak, w drogę! — odparł głosem poruszonym Hojski. — Muszę, muszę. Nie mam tu co robić. Na błazna mnie chcą wystrychnąć oni wszyscy, z pomocą mojego własnego syna. Zapewne projektują mnie tu najechać, uroczyście prosie o przebaczenie i wziąć jak głupiego lisa w jamie.

Wiesz asiúdzka dlaczego jadę?—dodał głośniejsz —

wiesz. Oto dlatego, że się sam siebie obawiam, abym go nie przeklął. Nie byłbym panem siebie—nie chcę przeklinać, a czuję, że przekląłbym i jego i ich do dziesiątego pokolenia.

— Bracie kochany— zawołała, płacząc p. Blandyna.

— Bracie! ojeze! ha! — krzyknął unosząc się Hojski—wszystko to piękne słowa, ale na naszym świecie ojeów niema, tylko póty, póki są potrzebni, i bracia póty dobrzy, póki się za nos wodzić dają.

— Jesteś niesprawiedliwym!—przerwała siostra.

— Jestem za dobrym — krzyknął Strukezaszyc. Gdybym krwi wzburzonej słuchał, siadłbym tu, czekał aż przyjadą i syna-bym przeklął, i tę narzuconą synową wyszczuł psami. Nie chcę tego! Ucieknę, pojedę, patrzeć nie będę na to, co się tu dzieje.

— Ale dokąd-że?—spytała p. Blandyna.

— Albo ja wiem? w świat — odparł Hojski, chodząc po izbie.—Jadę do aktu, asińdzka masz dożycie na Sierhinie. Syna wydziedziczam; zapiszę po najdłuższem życiu asińdzki na szpitalu, na ubogich, na klasztory. Nie pożywią się Czemeryńscy ani złamanym szelągim po mnie.

Z krzykiem przybiegła p. Blandyna, do nóg padając bratu.

— Nie czyń-że tego, na rany Chrystusowe! Nie chcesz przeklinać, a wydziedziczenie nie jest-że to przekleństwo? Majątek-ci to po dziadach.

Strukezaszyc zamilkł.

— Zrobię co zechcę — rzekł twardo. — Tymczasem póki ja żyję, Sierhin mój. Asiúdzka sobie na nim gospodaruj, rób co chcesz; ale jak mi tu oni, oni — ci (wskazał ku Łopatyczom) jedną noc pod moim dachem przenocują, jak ty mi ich tu puścisz, sprzedam Sierhin,—daruję!

Blandyna zanosiła się od płaczu.

— Czegóż beczysz? — zawołał z gniewem Hojski—ustępuję wam, idę precz. Postawili na swoim, niech się cieszą.

— Mój bracie drogi, ale ja ciebie jednego mam na świecie, możesz-że mnie tak porzucić bez wieści, bez litości? Co mi po Sierhinie bez ciebie? Ja się zapłaczę o tobie niewiedząc, trwożąc się, aby ci się co nie stało.

— Co mi się ma stać?—ofuknął Hojski, chrześcijanin jestem: co Bóg zesłał zniósę, ani się utopię, ni struję. Krzyż Pański dźwigać będę; ale tu, tu nie chcę i nie mogę zostać! Nie. Pokoju-bym nie miał jednej godziny, naposiedliby się na mnie wszyscy. Nie chcę Boga obrażać, przeklinając dziecko własne: niech mu Bóg odpuści, bo nie wiedział co czynił.

Przeszedł się po izbie Strukezaszyc.

— Tego łajdaka Kaczora asiúdzka precz wygnaj, a weź do interesów Samulskiego. W kantorku jest tysiąc czerwonych złotych od złej godziny, ale mi

asińdzka z nich rachunek zdasz; dla p. Erazma niéma tu ani szeląga. Swoje gałgany niech zabierze z izby, bo tu mu mieszkać nie wolno.

Nie dyktuję asińdzce co masz poczynać; żyj z niemi czy nie żyj—serce masz miękkie. Próżno-bym zakazywał.

Znużony pośpiesznem mówieniem, zatrzymał się Strukezaszyc i tchnął ciężko.

— Wołać komornika! — krzyknął, — konie Wicek niech zaprzęga!

Kaczor był podobno podedrzwiami. Zobaczywszy go Hojski, wziął rulonik ze stołu i wyciągnął ku niemu rękę.

— Masz acan więcej niż mu należy; każ sobie furmankę dać Morawcowi, i żeby mi cię tu za pół godziny nie było. Nie masz tu już co robić, nie jesteś potrzebny—kłaniam.

— Panie Strukezaszycu — zawołał Kaczor, ale cóż ja przewiniłem?

— Acan nic nie przewiniłeś — rzekł Hojski. — Gdy się ma śmiecie albo gnój wyrzucać, bierze się brudne widły: takem ja was wziął, i tak jak widły precz rzucam. Ruszaj sobie!

— Ale!

— Tu niéma żadnego *ale*—ruszaj do Czemeryńskiego, który ci raz skórę wytatarował i służy jemu: u mnie niéma co robić.—Bywaj zdrów.

Stał chwilę Kaczor, ale Hojski, podniósłszy głowę, zapytał groźnie:

— Czego jeszcze stoisz?

Komornik, zmieszany, wymknął się. Na krześle u stolika płakała, ręce łamiąc, p. Blandyna.

— Rób co chcesz, kochany bracie: masz więcej rozumu odemnie; ale ulituj się, powiedz, gdzie ja cię szukać mam, nie porzucaj mnie sierotą.

— Ja nie wiem sam co zrobię — odezwał się Strukczaszyce.— Widzisz, że syn kochany wypędza mnie z własnego domu. Spokoju-by mi nie dali— a ja przebaczyć nie mogę.

Dam asińdźce znać o sobie, ale z tym warunkiem, ażebyś im—im nie mówiła gdzie jestem. Będą gonili za mną... ja ich znać nie chcę—nie mogę.

Znając charakter brata, p. Blandyna nie nalegała już, żywiąc może w sercu nadzieję, że czas zmiany postanowienia i złagodzi gniewy. Wstrzymać go nie było podobna. Ściskając go i płacząc, wyprowadziła do ganku, a gdy sanki z nim wytoczyły się za bramę, z żałości i strapienia o mało nie omdlała.— Strukczaszyce, odjeżdżając, nikomu nie powiedział nic nad to: — Panna Strukczaszanka tu pani, żeby mi posłuszeństwo było!

Strasliwą pustką, jakby po pogrzebie, stał się dwór w Sierhinie; biedna kobieta osierocona w pustce tej zaledwie wytrwać mogła. Po wyjeź-

dzie Hojskiego zaryglowała wszystko i zamknęła się w swoim pokoiku—spędzała czas na modlitwie.

Kaczor, który próbował tu pozostać i po wyjeździe Hojskiego, chciał teraz ofiarować usługi swoje, ale otrzymał ponownie odprawę.

Dni kilka upłynęło w milczeniu, gdy, po rozejściu się wieści w sąsiedztwie, iż Strukczaszyce z domu wyjechał, dla przekonania się co rzeczywiście zaszło, zjechał ks. Dagiel.

Rachował on na to, że małżeństwo musi pojednać dwie rodziny, i zdumiał się a zgryzł, gdy mu panna Blandyna opowiedziała co się stało.

— Żelazny człowiek — rzekł — ale, że dzieck<sub>a</sub> przeklinać nie chciał—chwali mu się. Desperować nie trzeba.

Panna Blandyna nieśmiało zapytała o Czemyryńskich.

Pomimo, że się ich wcześniej spodziewano, nie było jeszcze w Łopatyczach ani sędziego, ani młodych państwa. Drogi były złe, podróż długa.

— Jeżeli przyjechali, to chyba dziś w nocy, dał proboszcz, ja ztąd do Łopatycz właśnie jadę, abym sędzinę chorą nawiedził.

Strukczaszanka opowiedziała o wszystkich brata rozporządzeniach i zaciętym gniewie przeciw synowi. Ksiądz Dagiel wysłuchał, niemówiąc słowa.

Nie zabawiwszy długo, pojechał do Łopatycz. Zdała już, po powozach stojących na wyspie przed

gankiem, mógł się proboszcz domyśleć, że oczekiwani właśnie przybyć musieli.

Zastał też Czemeryńskiego w ganku, rozporządzającego się żwawo i słuchającego raportu Śliwki.

Leonilla z mężem była przy łóżku rozplakanej i szczęśliwej matki.

Zobaczywszy ks. Dagiela, Czemeryński odprawił ekonoma i powitał kapłana z miną trymfującą.

— Powinieneś jegomość dobrodziej być ze mnie kontent — rzekł — przebaczyłem córce, przywiózłem ją do domu. Daję dobry przykład zgody i przejeżdżania.

Strukczaszye się wściecze! — dodał sędzia z uśmiechem szyderskim. Zażyłem go z mańki.

Proboszcz zmilczał.

— Projekt jest taki, że jutro cztery konie cugowe zaprzęgą; liberya, — dwór wystąpi, i państwo młodzi pojedą do Sierhina.

Pęknie bestya, gdy ich zobaczy! — zaśmiał się sędzia.

— Nie obawiaj się acan dobrodziej tego — odrzekł poważnie proboszcz.

— Albo co? — zapytał Czemeryński.

— Bo Strukczaszye, zawczasu uwiadomiony, siostrze majątek dożywociem oddawszy, wyjechał z domu zupełnie i bez powrotu.

— Co acan dobrodziej mówisz! Dokąd? — krzy-



knął, ręce załamując Czemeryński—a to mi się podoba! Jakto?—uciekł?

Dotknęło to tak sędziego, który zemstą swą chciał się nasycić, iż, niezważając na proboszcza, zdyszany, pobiegł do żony i dzieci.

— A to się wasz ojciec kochany, po swojemu spisał. — krzyknął we drzwiach.— Słyszę majątek cały zahartował, a sam niewiadomo dokąd się wywniół.

Erazm ręce załamał. Leonilka spojrzała na niego i od matki poszła do męża.

— Na Boga—cierpliwości, szepnęła mu—znajdziemy go—bądź spokojny—proszę!

Wszystkich łatwiej uspokoić było niż sędziego, który nie znał miary w gniewie, nie oszczędzał też Strukezaszyca, mszcząc się na nim za to, że śmiał mu się z rąk wymknąć.

Tegoż dnia, wymógł Erazm na żonie, że mu do ciotki pojechać dozwoliła. Miał jechać sam, ale w ostatniej chwili Leonilka wyszła ubrana i uparła się mu towarzyszyć.

— Gdzie ty, tam i ja—a co ty cierpisz, ja z tobą dzielić powinnam — rzekła. — Wszystko mamy wspólne, a ból nad wszystko.

Czemeryńskiemu nie w smak była ta wyprawa, ale córka panowała nad nim. Nadąsał się i zmilczał.

Panna Blandyna wyglądała siostrzeńca, chociaż

tego dnia się go nie spodziewała, a zobaczywszy żonę z nim, i pomyślawszy coby się stać mogło, gdyby Strukezaszyc był tu jeszcze — przyjęła ich jak nieprzytomna. Zdawało się jej ciągle, jakby ten nieprześlągany sędzia miał się cochwila ukazać z nielitościwem „precz!“ na ustach.

Erazma też, złamanego tym gniewem ojcowskim, tą ucieczką i wyrokiem, musiała ciotka orzeźwiać i pocieszać.

Leonilla miała męztwo za wszystkich.

— Jam winna najwięcej—odezwała się po pierwszych uściskach, płaczu i żalach—ja też mam obowiązek Erazma wyprowadzić z tego położenia, w które go wtrąciłam. Cierpi dla mnie, ale ja — cierpię za dwoje!

Przysięgam ci—dodała—choć to może wydawać się śmiesznem, ja twójgo ojca znajdę i ja go prześlągam. Ja!

Ciocia Blandyna ręce tylko załamywała. Z największymi potem szczegółami poczęła opowiadać, jak się Strukezaszyc o wszystkim przedwcześnie dowiedział i jakie zostawił rozporządzenia.

O wprowadzeniu się do Sierhina mowy być nie mogło, a Leonilla widziała dla męża niepodobieństwo pozostawania w Łopatyczach na łasce i niełasce rodziców. Czemeryński też zawsze zięcia za ledwie znosił i unikał bliższego z nim stosunku. Teraz mogło się to pogorszyć jeszcze.

Nie było więc innego sposobu, jeno ten, żeby, korzystając z niebytności Strukezaszyca i powolności Blandyny, jedną z wiosek zatradowanych od Łopatycz odebrać, i tam w ubogim zamieszkać dworku.

W drugiej wsi dwór i całe zabudowania dworskie spalono zaraz przy zajęciu.

Nawykła do elegancyi, wygod i ojcowskiego przepychu, pani Erazmowa, dosyć tęskną przeszłość swą na małej wioseczce, w lichym domku przyjmowała jakoś z uśmiechem młodości.

— Kiedys się to poprawi—mówiła— a tymczasem dobrze nam i tak będzie. Chatka jak w romansach—dodała z uśmiechem—mnie się to bardzo podoba!

Z tym projektem, zapewniwszy się, że p. Blandyna bronić nie będzie wioski, odjechała pani Erazmowa. W drodze miała czas zapewnić męża, iż, choćby rodzice czego innego sobie życzyli, ona przy tem będzie obstawać.

— Będzie nam dobrze i w chatce!—powtarzała—byle razem.

W Łopatyczach projekt ten znalazł opór wielki ze strony sędziego.

— Do czego się to zdało?—zawołał.—Cóż to tu acaństwu źle, z nami? Ja wioski odbiorę na siebie, wy możecie mieszkać w Łopatyczach; osobnego domu nie potrzeba!

Czemeryńskiemu uśmiechało się upokorzenie

zięcia i rola, jaką dlań gotował, chcąc go zrobić rodzajem posłusznego oficyalisty. Nazajutrz, gdy przy tem obstawał, Leonilla zaprotestowała.

— Nie—rzekła—Erazm i ja musimy mieć dom własny. Może-by nam tak było wygodniej, ale dla mojego męża nie przystało być rezydentem. Jego dola i upokorzenie spada na mnie.— Ja nie chcę!

Pierwszy może raz Czemeryński się pogniewał na córkę, wybuchnął z wymówkami; Leonilla zniosła to, ale się nie dała przełamać.

— Weźmiemy gdzieindziej dzierżawę—rzekła.— Erazm powinien być panem w domu, nie sługą. On dla mnie znosi wydziedziczenie, zaparcie się ojca.— Jam gotowa na wszystko dla niego. Sędzia sapał i fukał, wkońcu poddał się.

Wieczorem, przyszedłszy do żony, gdy sam z nią został, odezwał się:

— Uważasz, kochanko, że ta Leonilka, wykapany mój charakter. Jak się zatnie, nie jej nie poruszy, gotowa na wszystko, a na swoim postawi. Już kiedy ja nawet a rady jej dać nie mogę. Ot i teraz — za mężem ciągnie, ani ją przywieść do upamiętania.

— Ona go kocha—szepnęła sędzina.

— Więcej już niż nas!—dodał sędzia. Takie-to rodziców losy! — Jak gruszki dojrzałe od drzewa, odrywają się od nich dzieci.— Poodpadają i— rzecz skończona.

Westchnął Czemeryński.

— Gdybym był miał choć tę satysfakcyę, że Strukczaszyca zmoğłem i zwyciężyłem, ale i to nie. Na piasku mnie osadził, syna się wyrzekłszy, i gotów jeszcze majątek oddać na ubogich. Takiego łotra świat nie widział!

---

Na tym szmacie lasu, który, choć już może na to nazwanie nie zasługiwał, zwał się jeszcze Puszcza Kobryńska, jakgdyby na równi z niezbyt oddaloną Białowieżką chciał iść o lepsze, różni właściciele się już wówczas rozposażali. Krajał się ten las na kawały, trzebiono go i rąbano Nielitościwie, osiadali w nim ludzie, i powoli, co było puszcza stawało się trzebieżami i nowinami, otoczonemi resztką lasów.

Ziemia nie była drogą, nabywała się też prawie za bezcen, bo dopóki nowy właściciel mógł z niej coś zrobić, długich lat pracy było potrzeba.

Niedość było wydrzeć nowinę, drzewo zrąbać, puie mozolnie powydobywać; najczęściej z pod nich wychodziła ziemia jałowa, piaskowata, przejęta od wieków zakisłemi wodami, a że nowe pola otaczał i ocieniał las zewsząd, więc na trzebieżach posiewy tak były nędzne, iż ziarna nie opłacały.

Nowi też osadnicy najczęściej na rolę niewiele rachowali; gospodarstwo ich polegało na wypasie

bydła, owiec i na małych pasiekach, tam, gdzie wilgoć gnileca nie sprowadziła.

Zato w tym zakątku cichym, pustym, siedziało się jak u Pana Boga za piecem, z tarakanami w towarzystwie, słuchając pieśni mnogiego ptactwa i jednostajnego puszczy szumu. Wieczorem na moczarach kumały żaby, górą ciągnęły słomki, niekiedy zabłąkany łos z łomotem wielkim wypadł na polany, — popatrzył i zniknął.

Zimą o opał biedy nie było, bo i gałęzi i łomu i suszy i powalów było dostatkiem. Nie kosztowało nie sklecenie chaty, postawienie płota i oddychanie wonią orzeźwiającą jodeł i sosen. A kto tu raz wżył się w tę ciepłą ustron, podrapał ziemię, przemarzył na niej rok jaki, wcielił się do tego cichego światka leśnego, temu ztąd na gołe pola wyjść się już nie chciało. Las ma to do siebie, że jak pierwotna kolebka, pierwsze ludzi schronienie, macierzyńsko ciągnie ku sobie. Człowiek w nim bezpieczniejszym się czuje — jest w domu.

Prawda, że, pożywszy tu, przybiera nawet jakąś inną postać i obyczaj, coś w nim jest z płochliwego zwierzęcia, które od ludzi ucieka, — dobrze mu w samotności. Przyjaźni się z innymi pustelnikami i znajomi z nimi, kocha ich; zdaje mu się, że głosy ich rozumie.

Tego, co mieszkał w lesie, co żył na górach, nie

oderwać od drzew i przepaści — tylko mieszkaniac równin koczuje chętnie i włóczyć się gotów.

W rok i kilka miesięcy po opisanych wypadkach, w Puszczy Kobryńskiej, na uroczysku „Tłuste“ dawniej zwanem, wznosiła się nowa, obszerna chata z ogrodem, i koło niej coś jakby rozpoczętą trzebież nowiny widać było.

Miejsce to teraz, od wydartych niewielu zagonów, zwano Wyderką. Od jednego z większych właścicieli tych obszarów nabył szlachcic, człek już niemłody, niedrogo, włók kilkanaście, na których nie było nic, oprócz sosen, różnych zarośli, moczarów, błotnistego strumyka i piaskowatego wzgórka.

Że mu się tam osiąść zacheiało, dziwili się wszyscy, począwszy od tego, który tę ziemię sprzedał, i śmiał się z tego, co ją kupił. Jednakże w ciągu kilku miesięcy na pagórku piaszczystym, który tylko na tych płaszczyznach mógł się zwać tak wspólnie, wzniosła się duża chata, niby dworek, potem szopek parę z chrustu i ogródek otoczony płotem; studnię wykopano — i Wyderka była gotową.

Mało tam kto zaglądał i wiedział co się we dworku działo, a było koło niego cicho i pusto. Stara baba gospodyni, parobek nakuliwający, a sam właściciel, — podobno całą ludność składali.

Gościniec główny, idący przez puszcę, od wiekuistych czasów, o kilkanaście staj od Wyderki,

lasem się kręcił, a z niego nawet chatę niebardzo widać było.

Od niego zaledwie dostrzeżona drożyna snuła się pomiędzy drzewami ku nowym zabudowaniom.

Któżby z czytelników naszych nie odgadł, że pustelnikiem na Wyderce był p. Strukczaszye? Nie mógł on czy nie chciał uciekać dalej od swojego niegdyś kąta, szukał tu przytułku, a znalazł go umyślnie na pustkowiu, aby miał nad czem pracować i, pracując, o bólu zapomnieć. Z kilku ludźmi najętymi i końmi kupionymi, sam chodził około budowania chaty, tymczasowo mieszkając z nimi w budzie ladajako skleconej; sam z siekierą do rąbania drzew pomagał. Niewiele pewnie zrobił, ale znużenie potrzebnem mu było i trud cieleśny, który czasem seree uzdrawia.

Gdy nie było co robić, dawne czasy sobie, ze strzelbą chodząc, przypominał, a chatę zbudowawszy, miał się i w słotę gdzie modlić, chodząc po izbach pustych. Modlił się dużo, opędzał się myślom natrętnym, które do Sierhina latały.

Od najemnych robotników z różnych stron, od przejeżdżających, mógłby się być pewnie czegoś o Łopatyczach i Sierhinie dowiedzieć, ale nie chciał. Pocięchy ztamtąd się nie spodziewał, a smutku miał dosyć.

To zerwanie ze światem, gdyby nie modlitwa, dzikim-by go uczyniło. Czuł, że życie czemś zając



było potrzeba — ale celu w niem innego nie miał, jeno ten: aby dobić się do końca.

Rok tak przetrwał, gdy zimą go porwała tęsknica wielka, nieprzewyciężona. Nocą śnił mu się dom, syn i ów zawzięty bój z Czemeryńskim. Całe dnie snuła się przed oczyma osierocona siostra. Opędzał się pokusom jak mógł — zmogły go wreszcie: postanowił do Sierhina dojechać.

Zdawszy dom na parobka i gospodynię, zaprzął do małych sanek, któremi po swym lesie jeździł, konika, i puścił się ku Sierhinowi, tak obrachowawszy, aby nad wieczorem tam stanął.

Gdy, wydobywszy się z puszczy i przejechawszy dobry kawał polami, zobaczył wreszcie dach swój stary, sterczące nad nim drzewa i spokojną szarą wioskę, nad którą się dymy wznosiły — lzy mu się niemęzkie zakreśliły w oku. Sądził, że już przy suchych powiekach potrafi spojrzeć na to gniazdo stare; zawstydził się słabości.

Chciał zobaczyć siostrę i być jeszcze raz w Sierhinie, a bał się spotkać z synem lub synową. Tych znać nie chciał, do Erazma żał czuł zawsze, przebaczyć mu nie mógł.

Z ostrożnością więc podjeżdżać począł ku dworowi, rozglądając się dokoła, gdy małe sanki przesunęły się mijając. Siedział w nich drzemiący Morawiec. Zakrzyczał na niego Hojski; ekonom przelął się, jakby głos usłyszał z grobu — stanął.

Nuż z płaczem ściskać pańskie nogi, a gdy zobaczył Strukezaszyca ubogo odzianego, powożącogo się bez woźnicy, stary sługa aż ryknął.

— Niéma nikogo we dworze?—zapytał Hojski.

— A któżby miał być? Jedna panna tylko.

— Jedź dla bezpieczeństwa przodem; z nikim się spotkać nie chcę—rzekł Strukezaszyce.

Pośpieszył posłuszny Morawiec, choć ostrożność ta zdała mu się zbyt dużą, bo p. Blandyna tak wole brała szanowała, jakby on tam sam był jeszcze.

Na dany znak zajechał Strukezaszyce; wzięto konia i sanki; wszedł do sieni, a z niej wprost do pokoju siostry.

Zobaczywszy brata, p. Blandyna o mało nie omdlała ze strachu i z radości. Lecz jakże ten stary brat był różnym od uciekającego ztąd przed rokiem! Zestarzały, osiwiwały, odziany nędznie, z wyrazem goryczy i bólu na twarzy, obudzał litość więcej niż strach.

— Ot widzisz asindzka—rzekł poruszony—przyjechałem dowiedzieć się do ciebie.

— Sama jesteś?—zapytał.

— Widzisz.

Potoczył oczyma.

— Mów mi—mruknął.

— Boję się—odezwała siostra.

— Gdzie oni są?

Na to pytanie p. Blandyna zrazu szukała odpo-

wiedzi; lękała się przyznać, że folwark zatradowany odjęto.

Nie chciała też skłamać.

— Nie mogłam przed Czemeryńskim tradycyi obronić — rzekła — co ja biedna kobieta poradzę? Zabrali folwarki — tam mieszkają.

Strukezaszyc obojętnie ręką zamachnął.

— Dobrze, że Sierhina nie wzięli — mruknął.

Podparł się na rękach.

— Tyś ich widziała... — rzekł cicho.

— Nie mogłam przecież uniknąć — odpowiedziała siostra. — Erazm jest nad wyraz wszelki nieszczęśliwy.

— Z żoną? — podchwycił Strukezaszyc gorąco. — Dobrze mu tak! Kara Boża! tak być powinno! tak być musi! Za ojca mści się Bóg, bo ojcem też jest, i, jak ja, ma niewdzięczne dzieci.

— Ale nie z żoną — uchowaj Boże — odezwała się p. Blandyna — ona go kocha nad życie! Nieszczęśliwy jest tem, żeś ty go odepchnął, że znać go nie chcesz.

— Ojciec? — rozśmiał się Hojski — a cóż ojciec znaczy? Na co komu potrzebny, gdy raz dziecko odhodował?

— Bracie! — zawołała Blandyna.

— Daj-że mi pokój — w tęsknicę za starym ojcem nie wierzę. Rzeka do źródła nie wraca: ku

morzu płynie—odezwał się Strukezaszyc z goryczą coraz wzmagającą się.—Nie kłam, Blandyno.

— Bóg mi świadkiem — przerwała siostra żywo.—On się martwi, a ona! tego wypowiedzieć nie mogę—ona-by w ogień poszła, aby za niego przebłagać.

— O tem mi nie mów, proszę i rozkazuję! — odparł Hojski.— Ja słyszeć nie chcę — dość, lub natchmiast—jadę.

Zakrzętała się gospodyni około wieczery; trzeba było w sypialni dawnej Strukezaszyca w piecu napalić.—On siedział milezący i ponury. Był tu jakby gościem.

Gdy po wieczery otworzono mu dawne mieszkanie, ogrzane trochę, wchodząc, zawahał się na progu. — Panna Blandyna, rachując na to, że najskuteczniej będzie samym go tu ze wspomnieniami zostawić, cofnęła się zaraz.

Słyszała jak chodził dawnym swym zwyczajem, pacierze mówiąc i wzdychając; serce jej biło jakąś nadzieją, że może zostanie, że zmięknie, że się da ubłagać. Lecz gdy przyszła rano, znalazła go do drogi gotowym, zasępionym, mileżącym. Pożegnał się z nią prędko, nie pytając o nic, kazał sanki przyprowadzić i odjechał.

Na kilkakrotne pytania siostry: gdzieby mieszkał? Strukezaszyc nic nie odpowiedział.

— Co ci potem! — zamruczał — nie chcę, aby o mnie ludzie wiedzieli.

Z wieczora jednak p. Blandyna tak była niespodziewanemi odwiedzinami przejęta i ożywiona, iż się jej na większą niż zwykle odwagę zebrało. Po odjeździe brata mówiła o nim z Morawcem, który nad nędznym koniem, sankami i odzieżą pańską ubolewał. Ekonom z pewnych oznak wnosił, iż Strukeczasyc nie mógł się ukrywać daleko.

— A! gdyby to dojsć! — wołała, ręce składając siostra. Mój Morawiec, dałabym, Bóg widzi, co by kto odemnie zażądał.

Zamyślił się stary.

— Kiedy-bo to z panem trudna rzecz—rzekł cicho. Broń Boże, się wyda! nieszczęście będzie.

— Żadnego nieszczęścia — zawołała p. Blandyna—dla nas i dla niego potrzeba, byśmy wiedzieli, gdzie on nieszczęśliwy się męczy.

Nie niemówiąc, wziął to Morawiec do serca. Roboty około domu nie było tak dalece, za sankami Strukeczasycyca w pół godziny powłókł się konno śladem. Stary myśliwy, i sanek i konia trop i koleje dobrze rozpoznawszy, dotarł za nimi aż do Wyderki. Tu jeszcze niewyprężonego konia, którym Strukeczasyc przyjechał, zobaczył przed szopą. Miał więc pewność, że się nie pomylił.

Zawrócił do domu. Nie oznajmił zrazu o tem panie Blandynie, bo się obawiał—zachował to

przy sobie. Dopiero w tydzień jakoś, gdy mówiąc o bracie, panna Blandyna płakać zaczęła, Morawcowi też serce się poruszyło, wygadał się ze swą tajemnicą. W pierwszej chwili radości wielkiej, parę koni mu darowała ze stada gospodyni, a Morawiec, choć bardzo był z nich szczęśliwy, przestraszył się później tak wspaniałym datkiem, domyślając się, że p. Blandyna pewnie będzie korzystać z wiadomości, a jego podejście się wyda.

Trudno było cały ten wypadek w tajemnicy zachować p. Blandynie. Za pierwszą bytnością państwa Erazmowstwa, którzy ją często odwiedzali, wygadała się ze wszystkim, i z tem nawet, że o miejscu pobytu brata wiedziała — ale tego zdradzić nie chciała.

Leonilla na kolanach ją o to zaklinała — napróżno. Dowiedziała się tylko a raczej domyśliła, że tym, co dośledził kryjówki—był Morawiec.

Jakim sposobem potrafiła pani Erazmowa, w tajemnicy przed mężem, skłonić starego ekonomy, ażeby jej do Wyderki towarzyszył, powiedzieć nie umiemy.

Jednego dnia pod pozorem, że jedzie do Łopatycz do matki, p. Erazmowa wybrała się z domu, czulej niż zwykle uściskawszy męża.

— Proszę cię tylko, gdybym się przypóźniła, nie troszcz się o mnie. Nic mi się nie stanie.

Za dworem czekał Morawiec, jednokonnemi san-

kami, mający jechać przodem. Leonilla, ubrana czarno i skromnie, obwinęta chustką, sama jedna, w małych sankach z woźnicą, jechała za nim.

Przed wieczorem Morawiec, odwróciwszy się, wskazał ręką na chatę w lesie, z której komina dym wzbijał się słupem. Leonilka, porzuciwszy sanki na gościńcu, poszła pieszo. Co miała w sercu, Bóg wie jeden, ale twarz i chód nie zdradzały obawy. Szła śmiało, z głową podniesioną.

Strukezaszyc chodził po pustych izbach, zadumany, gdy w progu ukazała się nieznajoma mu postać. Chociaż widywał Leonillę w kościele, na pierwsze wejrzenie wydała mu się obcą. A że wśród tej pustyni nikt nigdy się nie pokazał, nawet zbłąkany podróżny, stary przeto stanął zdziwiony niezmiernie.

Przyszło mu na myśl, że komuś przejeżdżającemu przypadek trafić się musiał na drodze.

Wtem, zrzuciwszy z siebie chustkę, śmiałym krokiem kobieta zbliżyła się do niego, i w chwili gdy, przerażony, poznał w niej sędziankę, leżała już u nóg jego.

— O litość przyszłam cię prosić — zawołała, składając ręce — nie nademną, — jam winna, ty mi nie możesz przebaczyć, jam ci odebrała syna — ale nad tem nieszczęśliwem dzieciciem twem, które z bólu usycha! Uratuj mi męża! Ulituj się nademną!

Cały drżący Strukezaszyc stał osłupiały — gniew

najpierw nim poruszył wielki i miał wybuchnąć, gdy synowa objęła nogi teścia.

— Przebacz jemu! jam winna! Ja go skusiłam, jam wciągnęła, miałam nadzieję, że dla miłości jego mnie przebaczysz. Nie karz nas, zlituj się i bądź miłosiernym!

Strukczaszyce bełkotał coś niezrozumiałego, zasłaniając sobie oczy.

— Erazmowi przebacz! Jeślim ci nienawistna, nigdy ci się nie pokażę na oczy, zniosę twój gniew z pokorą. Jemu wróc serce ojcowskie!

Hojski łkał, poruszony mimowoli, chylił się, chcąc podnieść klęczącą.

— Nie wstanę od nóg twoich, aż mu przebaczysz!

Głos poruszający, płacz kobiety, przypomnienie syna,—złamały wkońcu Strukczaszyca.

— Gdzie on jest?—zawołał słabym głosem.

— On nie śmiał stanąć przed tobą, nie wie nawet żem tu przybyła! Jeśli litujesz się nademną i nad nim—pozwól, bym cię zabrała z sobą. Przywiozę mu szczęście, a sama do zgonu ci będę wdzięczną.

— Daruję—przebaczam, wyjąknął ręce wyciągając Hojski. Bóg z wami! Niech wszystko będzie zapomniane!

Leonilla porwała się ręce jego całować; starzec osłabły musiał sięść, aby siłę odzyskać.

Ta śmiałość, z jaką synowa gonila za nim, i niezrażona jego surowością, gotowa była znieść na-



wet nielitościwe odtrącenie—zwyciężyła Strukezaszyca.

Korzystając z tej chwili wzruszenia, lękając się jakiego zwrotu i zmiany w uczuciach, nalegała tak pani Erazmowa na teścia, że się dał tegoż dnia wziąć i zawieźć do ich domu. Morawiec tylko z sankami już się nie pokazał. Stary milczał przez całą drogę; otulała go synowa, a gdy późno w noc przybyli do dworku i starzec wysiadł z nią, a wybiegający naprzeciw Erazm zobaczył ojca—padł, jak stał przed nim, zemdłał.

Wzruszenie było zbyt wielkie. Ostatek żalu, jaki miał w sereu Hojski, ten dowód miłości synowskiej rozproszył.

Wieczór to był szczęśliwy, gdy stary ojciec zasiadł pomiędzy nimi, choć jeszcze nieswój, milczący, upokorzony tem, że go niewiasta zwyciężyła—ale już ściskający syna i niekiedy uśmiechający się do niego. Leonilla umiała mu też się nie narzucać, zostawić go swobodnym, dać mu czas do oswojenia się z sobą, aż Hojski wkońcu i rozmowniejszym się stał i prawie wesołym.

Zaledwie się to stało, posłano umyślnego po pannę Blandynę, i choć noc była, przybiegła uradowana, aby na ten cud patrzeć. I ona też bratu do nóg padła, a razem z nią i syn i synowa powtórnie mu dziękowali. Hojski już się był zrezygnował, jednak widać w nim było niepokój.

Gdy Erazm go do sypialni odprowadził sam, Strukczaszyce jakby zgłodniały, pochwyił go w objęcia i rozplakał się, szlochał a ścisnął syna—nie niemówiąc. Wszystko zdawało się szczęśliwie skończonem. Nazajutrz Hojski zapragnął wrócić do Sierhina, wprzód jednak pannie Blandynie powiedział:

— Niech oni odemnie naraz nie wymagają za wiele! Darowałem winy, przyjmuję synową, bo poczciwa jest i odrodziła się od ojca: nie zmuszajcie mnie tylko z nim się kumać; ani się kłócić nie będę, ani mogę kochać. Jemu i mnie z tem lżej będzie. On—jemu się zdaje, że on pan, ja—prosty szlachcic. Niech każdy u siebie siedzi.

Ja go znać nie potrzebuję, ani on mnie.

Żądanie to było rozkazem: przyjęto je w milczeniu. Tryumfująca Leonilla zaraz po wyjeździe Strukczaszyca kazała zaprzęgać i pojechała do Łopatycz.

Po wnijsciu jej do domu, Czemeryński poznał, z chodu, głosu i wesołości, że pieszczocha była w dobrym humorze.

Wyszedł naprzeciw niej, radując się też.

— Cóżże to tam tak nagospodarowała—odezwał się, ścisnąjąc ją, że tak ci się oczy świecą i usta śmieją?

— Spodziewam się, że dobrze nagospodarowała—odparła Erazmowa—serce mi w piersi skacze.

— No, czegoż?

— Wie ojciec! Strukezaszyca wyszukałam, wzięłam go szturmem i zawiozłam do Sierhina. Uściłkał mnie i ucałował, przebaczył Erazmowi!

Czemeryński skoczył jak oparzony.

— A to masz się z czem chwalić! — krzyknął:— Ledwieśmy odetchnęli, że się go pozbyła okolica. Tfu! potrzebna rzecz była! Gadaj, jak-że się to stało?

Nadeszła matka; Leonilla, wcale ojcowską burą nie zmieszana, poczęła opowiadać historią całą.

Gdy przyszło do tego, że się Hojskiemu do nóg rzuciła, Czemeryński się za włosy pochwycił.

— Szalona! — krzyknął. — Jemu, do nóg, temu człowiekowi co na moje życie czyhał! Niech-że cię on ma za córkę, a ja cię nie chcę! Wstyd mi zrobiłaś.

Niezważając na to i Leonilla i sędzina rzuciły się na starego, który z wielkiego gniewu prawie przytomność postradał. Kosztowało to wiele, zanim go udobruchano. Widać jednak było z usposobienia, że do przejednania między starymi nieprzyjaciółmi jeszcze bardzo daleko.

Czemeryński zaklął się, że jakożywo do Strukezaszyca nie pojedzie, niewiedząc o tem, że Hojski sobie toż samo warował.

— Mimo mej woli związały się dzieci nasze — zawołał sędzia—ja rozrywać ich nie myślę; ale mnie

to nie zmusza żyć z człowiekiem, którego ja nienawidzę i który mnie nienawidzi.

Cały dzień upłynął na uspakajaniu Czemeryńskiego, który do córki, za to wydobyć Hojskiego z jego pustelni, miał żal srogi.

— Żle ci było? potrzebowałaś go koniecznie? — powtarzał. Niechby sobie był siedział w lesie; przynajmniej-byśmy spokój mieli. Zacznie gospodarować, to się znowu za łby weźmiemy!

Dano czas wyburzyć się Czemeryńskiemu. W kilka dni wyraził obawę, żeby mu czasem Strukczaszyca nie przywieźli, żeby go nie przyjechał przeproszać. Ks. ex-definitor rozśmiał się na to.

— Niech pan sędzia będzie spokojny: on pono pod tym warunkiem z dziećmi się pojednał, aby go to nie zmuszało do żadnych innych kroków.

— A to miał rozum! — odezwał się Czemeryński — ani on mnie, ani ja jego znać nie chcę. Przeszłości się nie zapomina, -- to darmo.

Zostało więc jak było: Łopatycze z Sierhinem się nie znały, choć państwo Erazmowstwo oboje i tu i tam bywali. Unikali mówienia przed sędzią o Strukczaszyca i nawzajem. Hojskiemu trzeba oddać tę sprawiedliwość, iż on szczerze i statecznie unikał antagonisty; sędzia, przeciwnie, naprowadzał rozmowę na Hojskiego, dopytywał o niego, widać było, iż rad był przywieźć do tego, aby mu się szlachcic upokorzył i pierwszy krok zrobił.

I tak się to ciągnęło aż do Wielkiej Nocy. Zżył się ks. Dagiel, obu otwarcie czyniąc wymówki.

— Do czego to podobne!—mówił—dzieci się pobrały, processa umorzone, a wy ani sobie przebaczyć, ani się znieść nie możecie!

— Cóż? ja pierwszy mam mu głowę do stóp zżyć za to, że ta hołota córkę mi wzięła i pięć wiossek po niej w posagu? To mi się podoba!

— Mój panie sędzio — odparł ks. Dagiel, jeżeli szczęście i godność na wioski chcesz mierzyć, pozwól powiedzieć, że Hojskiego Sierhin i kapitały pewnie drugie tyle warte.

— Ale co Czemeryński, to nie Hojski!— mrucał sędzia.

— Panie sędzio — rzekł proboszcz — na sądzie ostatecznym o genealogią pytać nie będą, a kto więcej miał miłości w sercu, ten zwycięży.

— At!—mruknął Czemeryński.

Z nim jednak proboszcz mógł mówić i dysputować, gdy ze Struczaszycem gorzej było. Dawał sobie mówić, nie odpowiadał, nie sprzeczał się, — milczał, a przekonać go, zmiękczyć nie było sposobu.

Ażeby choć pozornie zbliżyć nieprzejednanych, musiał ks. Dagiel, — zdaje się w porozumieniu z sędzią i p. Blandyną, — użyć niewinnego podstępku. Mówiliśmy jak skromne życie prowadził i w jaki sposób na probostwie przyjmował.

Zwykle też i na Wielkanoc święcone ks. Dagiela, o którym w domu nie było komu myśleć, składało się z tego, co parafianie przysłali. Była to najosobliwsza zbieranina najwytworniejszych ciast i najskromniejszego, zakalcowatego pieczywa ubogich szlachcianek.

Prawdziwie — co Bóg dał — ustawiano na stole w miarę jak przychodziło, skromne serki i kukiełki masła, malowane i białe jaja, kielbaski wszelkiego kalibru, a obok mazurki wykwintne i baby, co do pułapu niskiego sięgały. Wino ocierało się stare o czystą gorzałkę. Ks. Dagiel się na tem nie znał, i prosił gości, aby używali daru Bożego, jak się komu podobało. — Organista tego dnia stał tu na równi z jaśnie wielmożnym dziedzicem, bo po opłatku na wigilią, po święconem jajku, czuli się wszyscy jednemi dziećmi, krwią Chrystusową odkupionemi. Nie wszystkim to może było w smak, ale każdy się do religijno-narodowego obyczaju akommodował.

Chrystus się nam narodził! i ściskali się wszyscy, a wół i osioł u żłobka Bożego, miały swe znaczenie przy Trzech Królach. Chrystus zmartwychwstał — ściskano się, zapominając uraz, dystynkcji i stopni.

Zdawało się zapewne ks. Dagielowi, że takiego dnia, zbliżając do siebie zawziętych wrogów, najła-

twiej ich zmusić będzie można, aby sobie ręce podali.

Pierwszy raz od czasu jak był proboszczem, ks. Dagiel, jeżdżąc dla święcenia ciast, wszystkich zapraszał do siebie, na jajko święcone.

— Proszę i obliguję wstąpić do mnie na probostwo — mówił — nie pretenduję, abyście się u mnie nasycili, bo u mnie święcone zbierane i nieparadne, ale, jeśli wam służąc, zasłużył na to, — uczcie się swemi odwiedzinami na Alleluja!

Niepodobna było odmówić. Czemeryńskiemu na myśl przyszło: a nuż się spotka ze Strukczaszycem? Hojski też wzdrygnął się na to: a nuż mu się sędzia nastreży? Cóż było robić? Mogli się milcząc pominąć. — Tymczasem ks. Dagiel inaczej to sobie ułożył; chciał mieć świadków wielu i ufał w Bogu, że w dzień uroczysty, po spowiedzi wielkanocnej, gdy do sere przemówi, te mu się otworzą.

Państwo Erazmowstwo też w pomoc przybyć mieli, sędzina i panna Blandyna, choć nieśmiało, obiecywały swą kooperację. Nadszedł ten dzień i po nabożeństwie posypało się, co żyło, na probostwo. Święcone, choć jak zawsze eklektyczne, trochę staranniej jakoś i z pewnym ustawione było smakiem.

Ks. Dagiel z talerzem jaj pokrajanych pełnym, stał u progu.

Zjawił się pierwszy Czemeryński, którego długą przemową i życzeniami tak umiał proboszcz utrzymać przy sobie, aż nadchodzącego Strukczaszyca zobaczył. Ten zwolnił kroku: cofnąc się nie było sposobu; inni goście nadchodzący, może do spisku należący, popychali.

Stało się więc, że Czemeryński, jeszcze trzymając na widelcu jajko, stał, gdy Hojski zmuszony został próg przestąpić. Niepuszczając sędziego, który się zaczerwienił jak burak — ks. Dagiel podał talerz Strukczaszycowi.

— Niech-że ten dzień uroczysty — zawołał — w którym pamiątkę wielkiej tajemnicy wiary naszej obchodzimy, dzień chwalebnego Zmartwychwstania Pańskiego, będzie dla nas dniem miłości i zgody! Ufam w miłosierdziu Bożem, że to jaje poświęcone biorąc z jednego talerza, ojcowie, których dzieci u ołtarza sobie przysięgły, dawną niechęć porzucą i — pojedną się. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

To mówiąc, zegnał obu stojących naprzeciw siebie, a w tem Erazm z żoną zbliżyli się i uklękli między niemi, mnodzy zaś goście huknęli głosy ogromnemi:

— Vivat! zgoda! zgoda!

Leonilla wzięła rękę ojca; Erazm, całując, prawicę Strukczaszyca, pochwycił — i wyciągnęli je ku sobie, tak że się połączyły.



Czemeryński miał łzy na oczach, Strukezaszyc w końcu się też rozczał. — Uścisnęli się!

Ks. Dągiel z radości wielkiej obu ich po rękach całował. Z plebanii wprost wszyscy pojechali do Łopatycz na święcone, potem do Sierhina.

---

I — powiecie sobie kochani czytelnicy — że wszystko zapomniane, zatarte, w przepaść rzucone zostało, a sędzia ze Strukezaszycem żyli jak dwaj bracia rodzeni.

Radłym ja to potwierdził, ale sumienie zmusza wyznać, że, choć między Łopatyczami a Sierhinem panowała harmonia i nawzajem się odwiedzano, a przy chrzcinach i na świętach, spotykali się pięknie z sobą, sędzia i Strukezaszyc, dowiadując się o zasiewy, o kosowięę i kopy: żeby jednak się zbyt kochać mieli — nie powiem.

Ludzie jestełmy. Czemeryński zawsze koso patrzył na Hojskiego, Strukezaszyc, mówiąę o tamtym, szydersko się ułmiechał.

— Pęcherz nadęty! — szeptał — zawsze mu się śni, że go Pan Bóg z lepszej gliny ulepił.

— To jadowity człęk ten Hojski, — mówił Czemeryński — mruk, nawet przy kieliszku się nie otworzy, chyba gdy do passyi przyjdzie. Nigdy

nie można wiedzieć co on myśli.—Co to za spoj-  
rzenie! co za uśmiech!

Najpocieszniej było widzieć ich, gdy z sobą ra-  
zem być musieli, i dla oka ludzkiego konwersować  
poufale. To ten ramionami zżymnął, to drugi splu-  
nął, to się jeden uśmiechał, to przeciwnik mar-  
szyli. Siadłszy z sobą do maryasza, bo i to się  
trafiało, znajdowali w kartach i grze mnogie powo-  
dy do przekąsów i sporu; ale się mitygowali.

Czemeryński, którego to zajmowało i było dlań  
niemal zabawką, nie unikał spotkania ze Struk-  
czaszycem; Hojski usuwał się, jak mógł.

Dopiero trzeba było ciężkiej choroby Czemeryń-  
skiego i łez pani Erazmowej, z obawy o ojca, aby  
Hojski się poruszył, bo synowę bardzo kochał.

Sam naówczas po doktora pojechał i przywiózł  
go, koło chorego niebezpiecznie, krzątał się i słu-  
żył mu, a Czemeryński, wstawszy szczęśliwie z łóż-  
ka, z nienawiści też został uleczonym. Strukezaszyc,  
który mu dał dowód pocziwego serca, sam też do  
tego, któremu życie ocalił, przylgnął.

Zmienił się ich stosunek na otwarty i przyjaciel-  
ski na starość do tego stopnia, że sobie dawne swe  
ważnie, śmiejąc się, przypominali.

Na tem pojednaniu najgorzej wyszedł komornik  
Kaczor, którego obajo na oczy widzieć nie chcieli.

Stracił wszystkie dochodziki, jakie dawniej z nich  
ciągnął, i gdy o nich w sąsiedztwie przy nim ma-  
wiano, głową potrzasał, mruczał:

— *Ambo meliores!*

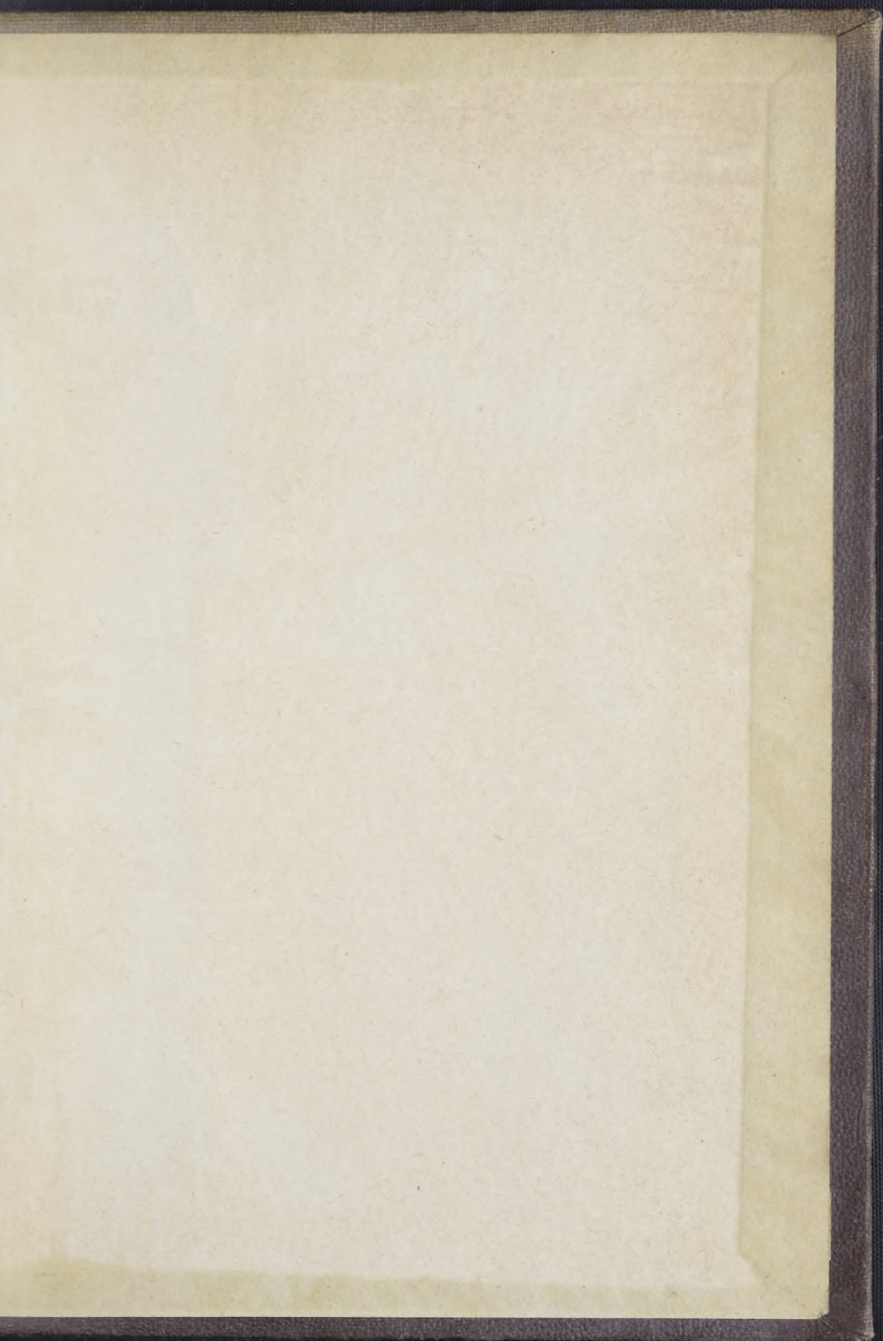
KONIEC.













2008022

---

---

t. 1-2